

# STER

TYGODNIK ŻYDOWSKI  
DLA SPRAW POLITYKI I KULTURY

Adres Redakcji i Administracji:  
WARSZAWA  
Królewska 29A. tel. 301-62  
skrz. poczt. 113  
KONTO P. K. O. Nr. 4.043

Godziny przyjęć: codziennie prócz  
sobót i niedziel — Redakcji 11—13.  
Administracji 17—19.

Rękopisów nie zwraca się.

Numer zamyka się w środę

W demokracji równość rzeczywista jest

duszą państwa.

(MONTESQUIUSZ — „O DUCHU PRAW”).

2 maja 1937

WARSZAWA

21 ijar 5697

# Przynależność do Obozu a przynależność do Państwa

Oświadczenia publiczne organizatorów Obozu Zjednoczenia Narodowego w przedmiocie nie przyjmowania Żydów do szeregow nowej organizacji, bez względu nawet na zasługi, które oddali Państwu na polach bitew, bez poczynienia nawet wyjątku dla wszystkich tych, którzy, należąc do wyznania mojżeszowego, uważają się za Polaków — znalazły silny odzew w łamach prasy żydowskiej, polskiej i zagranicznej. Okolicznością zastanawiającą jest, że prawie wszystkie wypowiedzenia się tak różnorodnych organów opinii publicznej stykają się ze sobą na punkcie uznania najnowszych deklaracji przywódców O. Z. N. za dalszy krok na drodze, która prowadzi od ideologii państwowej do nacjonalistycznej.

Prasa żydowska zaś, obok podkreślenia powyższego momentu, była zgodna w ocenie znanych oświadczeń płk. Kowalewskiego, widząc w nich pociągnięcie, które obiektywnie może być interpretowane jako tendencja do pomniejszania roli politycznej obywateli-Żydów w Państwie. Stawisko to, dla uniknięcia możliwych nieporozumień, wymaga szczerzego uzasadnienia ideologicznego ze strony organów prasowych, stojących na gruncie *niezależnej żydowskiej polityki narodowej*.

Zajmując znane stanowisko wobec oświadczeń o nieprzyjmowaniu Żydów w poczet członków O. Z. N., nie chcieliśmy przez to powiedzieć — przynajmniej szczerze — że w wypadku, gdyby nawet nastąpiło „Ozonu” było w sprawie tej pozytywne, my zalecalibyśmy Żydom wstępowanie do kadru nowego obozu. Nasze negatywne stanowisko nie byłoby zresztą *wyłącznym* wyrazem sympatii lub braku tejże do tych czy innych koncepcji politycznych oraz do poszczególnych odłamów społeczeństwa polskiego, które je uznają lub odrzucają. My negowaliśmy z nie mniejszą stanowczością myśl akcesu mas żydowskich do jakiegokolwiek innej niż żydowskiej organizacji politycznej, działającej na terenie polityki wewnętrznej, nawet wtedy, gdyby jej ogólne i pro-żydowskie nastawienie zasługiwało by rzeczywicie na naszą sympatię.

Albowiem *elementarną zasadą żydowskiej polityki narodowej jest jej ideowa, polityczna, a w konsekwencji także organizacyjna niezależność*. Zasada ta wypływa z przeświadczenia, że Żydzi stanowią odrębną społeczność narodową, posiadającą własne dążenia narodowe w różnych dziedzinach życia, a więc zmuszona do prowadzenia własnej narodowej polityki, której celem ma być osiągnięcie zaspakajania tych potrzeb przez Państwo. Żydzi sami wiedzą najlepiej, jakie są ich narodowe dążenia i potrzeby, toteż w walce o nie nikt nie potrafi ich wyreczyć, ani zastąpić, nie mówiąc już o tym, że nikomu obcemu nie przyjdzie na to polityczna „ochota”. Natomiast z drugiej strony masowa przynależność Żydów do nieżydowskich organizacji politycznych może ujemnie odbić się na stopniu ich narodowego uświadomienia i zwartości: *asymilowanie się polityczne pociąga za sobą nieuchronnie asymilowanie się narodowe i kulturalne*.

Zasada organizacyjnej samodzielności polityki żydowskiej nie oznacza oczywiście izolacji politycznej i odseparowania się od tych części społeczeństwa nieżydowskiego, na które Żydzi mogą i powinni orientować się politycznie. Bardzo dobitnie zasadę tę podkreślił syjonistyczny Program Helsingforski z 1906 r., proklamując organizowanie się polityczne Żydów w ramach własnej organizacji narodowej, a jednocześnie wzywając Żydów, aby zgłosili akces do walki wyzwolenczej demokracji rosyjskiej oraz narodów podbitych.

Zasada ta przyswiecała także niesyjonistycznym stronnictwom żydowskim, a w szczególności „Bundowi”. Znałe są zaciekle walki, które przed wojną wypadło staczać „Bundowi” z Socjal - Demokratyczną Partią Rosji i P.P.S. w imię zachowania niezależności organizacyjno-politycznej proletariatu żydowskiego, znane są na tym tle ostre polemiki jego przywódców z Leninem i z Piłsudskim. Ale zasada niezależności organizacyjnej została obroniona i zachowana, zarówno przez żydowski obóz narodowy, jak i socjalistyczny.

Wyszło to na polityczny pożytek masom żydowskim.

Albowiem w kraju, w którym społeczeństwo żydowskie zastosowało inną taktykę organizacyjno-polityczną, w Niemczech, brak własnej organizacji i własnej polityki odbił się fatalnie na sytuacji Żydów. Żydzi niemieccy nie tylko orientowali się na system demokracji waimarskiej i obóz niemiecki, stojący na jego gruncie, ale całkowicie się z nim zidentyfikowali, wstępując do poszczególnych niemieckich stronnictw centrowych, demokratycznych i lewicowych. Kiedy zaś system waimarski został obalony, Żydzi niespodziewanie utracili wszelki grunt pod nogami i zawisli w politycznej próżni. Przynależność do obcych partii odbiła się fatalnie na ich narodowym uświadomieniu, a do tego wszystkiego spotęgowała niebывale natężenie nastrojów antysemitycznych.

Nie mniej przekonujące są też nasze

Leopold Halpern

## Majowe święto wolności

Tegoroczne święto 1 maja przypada w okresie zacieklej walki o demokrację i przeciw systemowi dyktatury — która rozgrywa się we wielu krajach naszej części świata. To nadaje szczególny charakter międzynarodowemu świętu proletariatu socjalistycznego. Albowiem w ubiegłym stuleciu twórcami i teoretykami naukowego socjalizmu wydawało się, że bliska jest już chwila rewolucji, która obali system kapitalistyczny i zapoczątkuje socjalizm; zorganizowany ruch robotniczy walczył o nowy ustój traktował nie jako cel ostateczny, ale bezpośrednie zadanie; a święto majowe było dla proletariatu próbą sił i przyzwyczajką do tego „ostatniego boju”. Dzisiaj, natomiast, sytuacja przedstawia się pod każdym względem inaczej.

Otóż nowy ustój społeczny pozostał dla ruchu socjalistycznego celem ostatecznym, do którego jednak prowadzi długa i trudna droga poprzez kilka etapów. Bezpośrednim zaś zadaniem zorganizowanego pod sztandarami socjalizmu, ruchu robotniczego jest właśnie przebycie najbliższego a zarazem najbardziej doniosłego, etapu: *walki o demokrację i przeciw dyktaturze*. Tylko bowiem w ustroju prawdziwej demokracji politycznej istnieje dla klasy robotniczej szansa walki o *demokrację gospodarczą i społeczną*. Pod panowaniem demokratycznego prawa i swobód obywatelskich rośnie znaczenie polityczne klasy robotniczej, zwiększa się jej wpływ na państwo i bezpośredni współudział w jego rządach, a tym samym zbliża się stopniowo i ewolucyjnie nowy porządek społeczny. Natomiast dyktatura, a w szczególności jej współczesna *faszystowska* forma, nie tylko — jak się dawniej mylnie zdawało niektórym kołom socjalistycznym — nie przybliża rewolucji społecznej na mocy fizycznego prawa akcji i reakcji, ale zamyka przed ruchem robotniczym wszelkie możliwości polityczne, odbiera mu brutalnie dotychczasowe zdobycze i spycha na dno ucisku i niewoli. Tak więc *warunkiem walki o socjalizm — stała się walka o wolność*.

Wydarzenia ostatnich lat potwierdziły zatem na całej linii słuszność koncepcji socjal-demokratycznej wewnątrz obozu marksistowskiego, na którego całość składają się elementy różnorodne. Komuniści, którzy przez lata całe wyciemniali i bagatelizowali swobody obywatelskie system demokracji i „burżuazyjny” parlamentaryzm, którzy ostrze agresywności swego kierownictwa przede wszystkim w stronę partii demokratycznych i socjal-demokratycznych, którzy wreszcie bagatelizowali niebezpieczeństwo „chwilowego” zwycięstwa hitlerizmu, spodziewając się nań, że „przyspieszy” ono ostateczne zwycięstwo rewolucji proletariackiej — teraz, przynajmniej na zewnątrz, odzyskują się do dotychczasowej fatalnej taktyki i głośno deklarują swą miłość do „swobód obywatelskich” i „burżuazyjnej” demokracji. Oznacza to duże zwycięstwo moralne

doświadczenia w dziedzinie samodzielności organizacyjnej polityki żydowskiej w Polsce. Od odzyskania Niepodległości do przewrotu majowego i powołania B. B. W. R. — samodzielność była przestrzegana na całej linii. Masy żydowskie popierały akcje żydowskich partii politycznych. A w czasie wyborów oddawały swe głosy na żydowskich posłów i radnych. Wprawdzie partie żydowskie często współpracowały w Sejmie z stronnictwami obozu demokracji polskiej, a nawet zawarły Blok Mniejszości Narodowych — ale czyniły to, występując w roli samodzielnego partnera politycznego, który z obcymi pertraktuje tak, jak równy z równym. Przynależność niektórych zasymilowanych jednostek żydowskich do polskich partii — była tylko wyjątkiem, potwierdzającym regułę.

Przyczyniło się to do wzrostu prestige polityki żydowskiej, zapewniło Żydom

posiadanie własnej reprezentacji parlamentarnej, wzmocniło samopoczucie narodowe mas żydowskich. Ale najbardziej doniosłe były pozytywne skutki systemu samodzielności w dziedzinie — *moralności politycznej żydowskiego życia społecznego*. Tak jest! Wewnętrzna gra sił na ulicy żydowskiej odbywała się swobodnie bez ingerencji czynników zewnętrznych. Endecja mogła być jak najbardziej antysemicka, ale ani jej na myśl nie przyszło zmuszać Żydów do głosowania na swoje listy. Jeśli zaś polskie partie lewicowe ubiegały się o głosy żydowskie, to czyniły to oczywiście bez stosowania jakiegokolwiek nacisku zewnętrznego.

Inaczej ułożyły się stosunki po r. 1917, t. j. od kiedy B. B. W. R. wkroczył na arenę polityczną, jako organizacja, dążąca do skupienia w swych ramach *wszystkich* elementów, popierających system pomajowy, bez względu na oblicze socjalne czy naro-

pięć, która od lat jest symbolem sytuacji wewnętrznej kraju.

Najbardziej jaskrawe paradoksy wystąpią wszakże w dwóch państwach, w których 1 maja jest świętem państwowym: w *hitlerowskich Niemczech* i w *bolszewickiej Rosji*. Bo oto majowe święto wolności uczyniono oficjalnym świętem w państwach, w których *nie ma wolności*. Ale polityczne paradoksy mają po większej części formalny tylko charakter. W istocie rzeczy wszystko jest w porządku...

To nic, że berliński „Tempelhoff” właśnie 1 maja udekoruje się *własnie* czerwonymi sztandarami — z wolnością nie będzie to przecież miało nic wspólnego. W kraju, z którego wygnano wolność, 1 maja będzie demonstracją przeciw wolności, przeciw pokojowi, przeciw prawdziwemu postępowi.

I nic, że moskiewska „Krasnaja Ploszczad” tonąć będzie 1 maja w morzu czerwieni, że o jej bruk uderzać będą rytmicznie dziesiątki tysięcy butów żołnierzy czerwonej armii, że dudnić po nim będą armaty i zmotoryzowane czerwone oddziały: w kraju, w którym zamiast swobód obywatelskich wprowadzono dyktaturę wieńchołk monopolistycznej i kult jej wódza, zamiast wolności sumienia — przymus podporządkowywania się jednostronnej „linii generalnej”, zamiast swobodnego ścierania się poglądów — krwawy terror, w kraju tym 1 maja nie jest świętem *wolności*.

Jest jeden mały kraj na świecie, dla którego proletariatu socjalistycznego 1 maja będzie podwójnym świętem wolności: politycznej — socjalnej i narodowej. Na krainę zwrócone są oczy Żydów na całym świecie, krajem tym jest *Palestyna*. Albowiem palestyński robotnik żydowski walczy o swe socjalne wyzwolenie, wiedząc, że nie jest ono do pomyślenia bez wyzwolenia narodowego. Jak P.P.S. walczyła o sprawiedliwość socjalną i niepodległość, tak robotnik żydowski walczy o Żydowską Palestynę, która będzie sprawiedliwą społecznie. Tak oto praca i walka robotnika żydowskiego w Palestynie jest zarazem piękną kartą w dziele odbudowy żydowskiego kraju i odrodzenia żydowskiego narodu. W dniu święta wolności robotnika żydowskiego w Palestynie sympatie całej demokracji syjonistycznej są po jego stronie.

Od święta wolności do zwycięstwa wolności prowadzi długa droga. Tylko w niektórych krajach 1 maja 1937 r. będzie obchodem na cześć już istniejącej wolności — w większości krajów wolności tej jest jeszcze bardzo mało, we wielu: nie ma jej całkowicie. W tych krajach majowe święto będzie obchodem na cześć wolności, która nastąpi, będzie pobudką do walki o jej całkowite zwycięstwo.

dowościowe poszczególnych odłamów i grup. Pewna część społeczeństwa żydowskiego — na szczęście tylko część i tylko pewna! — zrezygnowała z organizacji samodzielności polityki żydowskiej, zgłaszając akces do B.B. Ale skutki tego były liczne i ważne...

Przed wszystkim B. B. począł aktywnie ingerować do wnętrza życia żydowskiego, wygrywając jedne odłamy społeczeństwa żydowskiego przeciw innym, rozbijając społeczeństwo żydowskie i demoralizując jego mniej odporne części. W czasie zaś wyborów B. B. domagał się głosów żydowskich, stosując znane środki i zwalczając niezależne partie żydowskie.

A rezultaty? Te dziś są już powszechnie znane. W dziedzinie zaspakajania istotnych potrzeb naszego społeczeństwa nie osiągnięto nic, a cały domniemany prestiż „współpracy” polsko-żydowskiej w ramach B. B. i jego parlamentarnego klubu — obrócił się w nicosć za pierwszym podmuchem „nowych” wiatrów...

Jeśli więc wraz z likwidacją B.B.W.R. zlikwidowano zasadę przyjmowania Żydów, jak zresztą także innych mniejszości narodowych, do organizacji obozu rządowego, to my obiektywnie najmniej tego żałujemy. Okoliczność ta może tylko korzystnie odbić się na zwartości organizacyjnej, politycznej aktywności i narodowym uświadomieniu społeczeństwa żydowskiego. Nie o przynależność do nowego Obozu kruszy więc kopie niezależna żydowska opinia publiczna.

Niewzruszenie natomiast stoimy na gruncie naszej *pełnej i integralnej przynależności do Państwa*, na gruncie spełniania wszystkich wobec niego obowiązków i korzystania ze wszystkich praw, które jego równoprawnym obywatelom przysługują. Nienależenie do Obozu nie może oczywiście w najmniejszym nawet stopniu kwestionować czy ograniczać przynależności do Państwa. Dotyczy to tych części społeczeństwa polskiego, które do Obozu nie przystąpiły, dotyczy to mniejszości narodowych, dotyczy także nas, Żydów. Oczywiście ta wypływa nie tylko z ostatnich oświadczeń organizatorów O. Z. N., że nie ma on być monopartią, ale przede wszystkim z obowiązującej Konstytucji kwintowej, na której gruncie stoi deklaracja płk. Koca.

Są to, jak podkreśliliśmy, rzeczy oczywiste. Jeśli więc je teraz *przypominamy*, to czynimy to tylko dlatego, że tu i ówdzie zagalopowano się pod wpływem przedświątecznego przejęcia się nowymi nastrojami i zapomniano o oczywistościach.

Nie możemy należeć do Obozu — *pozostajemy wszakże nadal równoprawnymi przynależnymi do Państwa*. — Cóż, kiedy o tak elementarnych prawdach zapomnieli nawet tak wytrawni publicyści, jak p. B. K. z „Kurieru Warszawskiego”, konstruując ryzykowną teorię, że nacjonalista żydowski nie może korzystać z równoprawności obywatelskiej w Polsce, że mniejsze mają być prawa mniejszości niż większości. A bardziej krewcy i „radikalni” przyjaciele polityczni p. B. K. zagaiopowali się jeszcze dalej, donagając się na Zjeździe Związku Miał wprowadzenia do regulaminu przepisu, że — Żydzi nie mogą być członkami instytucji Związku!

Albo coż dziwić się endeckom, że za silnie i zbyt skwapliwie podlegają „nowym” nastrojom, kiedy nawet wśród Żydów znaleźli się tacy, którym trochę...zakreśliło się w głowie. Bo oto na tymże Zjeździe wystąpił niejaki p. Hoper ze Stanisławowa, zgłaszając do wniosku endeckiego poprawkę, że „żydzi narodowości polskiej” (! — red). — mogą być wybierani do instancji Związku Miał. Dopiero dyrektor biura Związku musiał przypomnieć zarówno endeckom, jak i „żydowi narodowości polskiej”, że... Konstytucja jeszcze obowiązuje!

Wskazaliśmy na kilka faktów, które ilustrują budzące się tu i ówdzie „nowe” nastroje. Nastroje, pod wpływem których zaczyna się kwestionować przynależność do Państwa 3.500.000 obywateli — nie są dla Państwa korzystne. Należy zatem unikać tego wszystkiego, co mogłoby być impulsem do powstawania takich „nastrojów”.

d. n.

# WYDARZENIA I ODGŁOSY

## Nie monopartia i nie B.B.

Ostatnie enuncjacje przywódców O.Z.N., które nast. w związku z powoł. p. Kowalewskiego na szefa sztabu nowej organizacji — rzucają nieco więcej światła na charakter tworzonych obozów. A więc na konferencji prasowej w Warszawie oświadczono, że O.Z.N. nie ma być monopartią, ale będzie dążyć do wciągnięcia aktywności innych partii. W tym samym czasie na konferencji prasowej O.Z.N. w Wilnie odznaczono się stanowczo od przeszłości i metod działania dawnego B.B.W.R. Jednocześnie zaś p. plk. Kowalewski zaprosił prasę do krytykowania posunięć nowego obozu.

Ograniczenie się „Ozonu” od systemu jednej, monopolistycznej partii — należy przyznać — posiada duże znaczenie. Wileńskie „Słowo” akcentuje fakt ten z całym naciskiem. Organ p. Mackiewicz wywodzi, że nawet zadeklarowanie przez Prezydenta Rzeczypospolitej sympatii dla O.Z.N. nie przesądza wcale monopartyjnego charakteru tegoż, albowiem także w zachodnich państwach parlamentarnych prezydenci republik tylko formalnie są ponadpartijni, faktycznie zaś sympatyzują z jakimś kierunkiem. Natomiast decydujące znaczenie dla określenia charakteru O.Z.N. ma okólnik ministra Grabowskiego, zabraniający sędziom i prokuratorom należenia do politycznych organizacji, a w ich rzędzie do Ozonu. Otóż w systemie monopartyjnym jest wręcz odwrotnie: sędziowie muszą należeć do monopartii, albowiem wymiar sprawiedliwości uskutecznia się w jej imieniu. — Zupełnie słuszne uwagi.

Nie rozumiemy natomiast dobrze zapowiedzi p. plk. Kowalewskiego o wciągnięciu aktywności innych partii do O.Z.N. To przecież właśnie B.B.W.R. posługiwał się w swej działalności metodą rozłupywania stronnictw, przez odcinanie od nich grup i jednostek, a przywódcę O.Z.N. tak stanowczo odgraniczyli się od B.B. i jego tradycji. Jak więc rozumieć należy odnośne oświadczenie szefa sztabu O.Z.N., skoro nie ma on być ani monopartią, ani B.B.?

## Od ideologii państwa do nacjonalizmu

Enuncjacje organizatorów O.Z.N. w sprawie żydowskiej, a zwłaszcza obszerne „wyjaśnienie”, opublikowane przez P.A.T. — wskazują, że drogę tę obóz sanacyjny przebywa, krocząc w siedmiomilowych butach. A więc żaden przynależny do narodowości żydowskiej nie śmie być członkiem O.Z.N. Nawet Żydzi-uczestnicy walk o niepodległość, mimo zasług oddanych państwu, nie będą pod tym względem wyjątkiem. Nawet „Polacy wyznania mojżeszowego” nie będą zasadniczo do bozu dopuszczani, mimo, że nie stoi on na stanowisku wyznaniowym.

B. poseł M. Niedziałkowski zwraca uwagę na łamach „Robotnika”, że pod względem stosunku do Żydów „Ozon” istotnie różni się od B.B. Ale ta innowacja została, według publicysty socjalistycznego, okupiona przekreśleniem całego politycznego dorobku czteroletniej działalności Józefa Piłsudskiego, jako Naczelnika Państwa. Przekreślenie też zostało państwowe nastawienie obozu piłsudczyków, w imię którego w pamiętnym r. 1922 stoczono tak zaciętą walkę z ciasnym nacjonalizmem endecji. M. Niedziałkowski konkluduje: „Notuję zatem triumf koncepcji Romana Dmowskiego”.

Triumf ten także notuje prasa, zbliżona do obozu Dmowskiego. „Goniec Warszawski” konstatuje z nieukrywaniem zadowoleniem:

„Jednym słowem O.Z.N. zaakcentował swój negatywny stosunek do Żydów w Polsce, zobowiązując się publicznie do prowadzenia akcji, zmierzającej do spolszczenia miast, handlu, przemysłu, rzemiosła i zawodów wolnych, oraz do zmniejszenia (?) Żydów w Polsce”.

Ale pismo „narodowe” nie ogranicza się do chwalebnia „Ozonu”, dopinając jego przywódców do realizowania antyżydowskiego programu:

„Ponieważ w O.Z.N. grupują się żywioły bliskie decydujących czynników w państwie, więc wyjaśnienia plk. Kowalewskiego nabierają dużej wagi. Po prostu gdyby działające O.Z.N. objęli rząd w Polsce, musieli by dać wyraz swoim zapatrywaniom na kwestię żydowską w postaci ustaw i zarządzeń administracyjnych”.

O stosunku obozu „narodowego” do przemian ideologicznych w obozie „sanacyjnym” czytamy w „Goncu”:

„Jak wiadomo, do tego zmierzają wszystkie ugrupowania obozu narodowego, które przez kilka lat prowadziły walkę z B.B.W.R. i rządami pomagającymi o kwestię żydowską i sposoby jej rozwiązania w Polsce.

Czy to oznacza, że między O.Z.N. plk. Koca z obozem narodowym zostały zniwelowane różnice w poglądach na sposób rozwiązania kwestii żydowskiej? Za wcześniej jeszcze na takie wnios-

ski, ale nie ulega wątpliwości, że wyjaśnienia plk. Kowalewskiego zbliżają O.Z.N. w poglądach na kwestię żydowską do programu ugrupowań obozu narodowego. Naturalnie o polityce O.Z.N. w kwestii żydowskiej zdecydować praktyka. Czy wyjaśnienia plk. Kowalewskiego są pierwszymi, zdecydowanym krokiem O.Z.N. w tej dziedzinie?”

Agencja „Press” donosi, że także prasa zagraniczna poświęca dużą uwagę stosunkowi O.Z.N. do kwestii żydowskiej i decyzyjnie nie przyjmowania Żydów do obozu plk. Koca:

„Prasa zagraniczna podkreśla, że nowy obóz rządowy w Polsce nosić będzie charakter narodowy i antykomunistyczny. Niektóre pisma podnoszą, że na tle kwestii żydowskiej doszło do faktycznego wyrównania poglądów między obozem plk. Koca, a ugrupowaniami nacjonalistycznymi w Polsce”.

Jak zwrot ten ocenia naczelny organ prasowy stronnictwa Dmowskiego?

„Warszawski Dziennik Narodowy” pisze:

„...dotychczas zarysowane stanowisko tego obozu (O.Z.N. — przyp. red.) wobec Żydów nie odpowiada w pełni ani dążeniom społeczeństwa polskiego, ani fazie rozwojowej tego zagadnienia. Z tego, co wiemy dotychczas o stosunku O.Z.N. do Żydów wypadłoby wnosić, że w porównaniu do stanowiska B.B. pewne postępy są niezaprzeczalne.

W porównaniu jednak do nasilenia sprawy żydowskiej i do praktycznych wyników walki o polski charakter kraju, w szczególności do wyników w zakresie oświaty pod tym względem naszego społeczeństwa jest to za-

ledwie ząbkowanie”.

A więc sanacja zdecydowała się na poczynienie tak poważnych zmian światopoglądowych, na zerwanie z starymi tradycjami, na stosowanie niepewnych eksperymentów — wszystko w imię szukania dróg porozumienia i zbliżenia z obozem „narodowym”. Natomiast wymagająca endecja daje do zrozumienia, że tego wszystkiego jest jej za mało, że to tylko... ząbkowanie!

Rywalizacja z endecją na polu antysemityzmu nie jest widocznie łatwa.

## Monopartia generała Franco

Z rebelią generała Franco nie jest dobrze. Już z górą osiem miesięcy trwają zaciekle walki, lecz ani marokkańscy najemnicy, ani włoscy i niemieccy „ochotnicy” nie zdołali pomóc zbuntowanemu generałowi w pokonaniu woli ludu hiszpańskiego i jego prawowitego rządu. Lud okazał się silniejszy od armii.

Cóż więc robią generałowie Franco i im podobni, gdy nie mają popierania ludu? Tworzą monopartię i obdarzają lud „socialnym” programem. Istotnie też dnia 19 kwietnia b. r. generał Franco zlikwidował na okupowanych przez siebie terytoriach wszystkie stronnictwa i organizacje polityczne, łącząc je w nowym obozie p. n. „Falange Española” Manuel Heñilla, szef najwyższej rady „Falangi”, tak sformułował „program” gospodarczo-społeczny nowej organizacji:

„Falanga” odrzuca system kapitalistyczny, który zapoznał potrzeby i powoduje nędzę wśród warstw pracujących. Z narodowych i ideowych względów odrzucamy tak samo marks-

Nie pozwolimy, aby wielkie masy głodowały, a wszystkie owce zbierała szczupła garstka uprzywilejowanych. Uznajemy własność prywatną, ale będziemy ją chronili przed praktykami wielkiego kapitału. Upaństwowimy banki i przedsiębiorstwa użyteczności publicznej. Zapewnimy ludowi pracującemu odpowiednie ustawy socjalne i obronę pracy, gdyż pasożytnictwo, które chce żyć na koszt innych, nie będzie dla nas istniało”.

Jest to typowy „program” faszystowski, w którym brak logiki, nieszczerść i operowanie pustymi frazesami rywalizują ze sobą o pierwszeństwo. Ani monopartie, ani takie „programy” nie zdołają na dłuższą metę ratować politycznie rozmaitych generałów Franco.

## Jeszcze o galicyjskich wyborach

W ostatnim numerze naszego pisma opublikowaliśmy na zasadach wolnej trybuny syjonistycznej list dra O. Spiry z Krakowa w sprawie różnych niedokładności i nieporozumień, które się tam zarysowały w czasie przygotowania akcji wyborczej na XX Kongres Syjonistyczny. Obecnie, na tychże zasadach wolnej trybuny syjonistycznej, ogłaszamy ustępy listu Egzektywnej Organizacji Syjonistycznej dla Małopolski Zach. i Śląska, odpowiadające na zarzuty dra O. Spiry:

„Wyrok sądu kongresowego z 18. 8. 1935 brzmi w oryginale: „Es ist von allen Seiten, von den Organen wie von der Parteien gestündigt und insbeson here sind dadurch die Listen 1 und 3 mangelhaft zustande gekommen” A zatem z treści notat-

ki Dra O. Spiry wynika, że on i tym razem postąpił „incorrect”, bo zapomniał podać, że orzeczenie Sądu Kongresowego dotyczy także listy nr. 3, t. j. Ligi Pracujących Palestyn, której reprezentantem jest właśnie p. dr. O. Spiro.

Prawda jest, że reprezentanci Ligi P. P. postawili przy ukonstytuowaniu się Centralnej Komisji Szeklowej 3 warunki a mianowicie: 1) odrębny lokal dla Komisji Szeklowej, 2) każdy list z Centralnej Komisji Szeklowej ma być zaopatrzone w trzy podpisy, 3) Liga ma mieć swego urzędnika w Centralnej Komisji Szeklowej. Na ustępstwo w pierwszych dwóch warunkach w czasie pertraktacji okazywali zgodę przedstawiciele Ligi, jeśli tylko warunek trzeci będzie dla nich załatwiony. Na to ostatnie katagoryczne żądanie przedstawiciele nasi nie chcieli się zgodzić, twierdząc, że w tej chwili nie zachodzi potrzeba powiększenia liczby sił płatnych. Co do warunku drugiego, to uważali go za zwykłą szukanę, mającą na celu utrudnienie pracy. Ten brak zgody na płatnego urzędnika był właściwie powodem secesji przedstawicieli Ligi. Protest ich wniesiony do Jerolimy nie został uwzględniony, a po wymianie listów z Agencją przedstawiciele Ligi wstąpili dnia 12. IV. do Centralnej Komisji Szeklowej, obejmując swoje urzędy honorowe”.

Publikując w poprzednim numerze list dra O. Spiry, wyraziliśmy nadzieję, że „towarzysze zachodnio-małopolscy, bez względu na przynależność frakcyjną uczynią wszystko, aby zlikwidować zbędne i szkodliwe konflikty wyborcze”. Zamykając obecnie polemikę na powyższy temat po zapoznaniu czytelników ze stanowiskiem obu stron, apel nasz powtarzamy.

# Z żydowskimi rybakami na Bałtyku

Działająca od lat kilku organizacja „Zebulun” ma właściwie za goła inne cele od tych, jakie jej ostatnio przypisał na łamach „Podbięty” Neuwert-Nowaczyński w swym artykule p. t. „Zebulun”. Tytuł ten przeraził zapewne czytelników „longinusowego” organu, nie pałających wszak zbyt miłą miłością do Starego Testamentu. Sądzić jednak należy, że treść artykułu, nie mająca zresztą z biblią nic wspólnego, najzupełniej ich zadowoliła.

Nowaczyński cel swój osiągnął: uświadomił pewne koła o zadaniach „Zebulun” w związku z morzem... polskim. My zaś wolimy zająć się „Zebulunem” w związku z morzem palestyńskim.

W Gdyni, na Kamiennej Górze, w willi „Zosienka”, w dwóch pokojach pod N N 2 i 3 znajduje się kwatery kursu rybackiego „Zebulun”, zorganizowanego i prowadzonego przez miejscowe koło tej organizacji. Młodzieńcy żydowscy z Warszawy, Krakowa, Lwowa, Brześcia, Prużany i t. d. otrzymują tam pełne teoretyczne i praktyczne wykształcenie rybackie. Nie, broń Boże, po to, aby wydrzeć chleb rybakom kaszubskim, ale po prostu po to, aby wyjechać do Palestyny (na razie jeszcze nie na Madagaskar) jako doskonale wyszkoleni rybacy.

Udaje się na kwaterę żydowskich rybaków. W drodze zastanawiam się nad tym, jak też sprawują się na morzu synowie narodu, pomawianego o wstręt do wojny. Wprawdzie młodzież żydowska Warszawy słynie ze swych zdolności pływackich i sportowcy nasi nie jeden już w tej dziedzinie rekord pobili, ale rybaków żydowskich dotąd nigdy nie widziałem. Poczuję się jednak zastanawiać! Za chwilę zobaczmy.

Przyjmuje mnie kierownictwo kursu w osobach: kapitana, instruktora i majstra rybackiego. Kapitanem kursu jest Niemiec (bez epitetu, który się ostatnio do tego słowa dodaje), b. oficer niemieckiej marynarki wojennej, potomek starej rodziny rybackiej, par excellence wilk morski. Jest to smukły, ale silnie zbudowany mężczyzna w wieku lat czterdziestu kilku. Szczupła, ogorzała twarz, z charakterystycznymi dla „synów morza” dwiema głębokimi zmarszczkami wzdłuż policzków, łagodne, mądre spojrzenie, oryginalna, upstrzona monogramami, napisami i rysunkami fajka w ustach.

Kapitan przedstawia mi się: ich bin ein Seemann (jestem człowiekiem morza).

— Moja tradycja rybacka sięga wstecz aż do dziewiątego pokolenia. Zwiedziłem prawie cały świat. Dwie trzecie swego życia strawiłem na zamorskich wyprawach i podróżach. Tak żyją rybacy. Młode lata spędzają na morzu, później wracają do swej osady rybackiej.

— Ta osada rybacka, ciągnie dalej kapitan, to właściwa istota całego naszego stanu. Nie jest rybakiem ten, kto tylko trudni się rybołówstwem. Jedynie ci, co osiedlili się nad morzem, tworząc całe osady, są prawdziwymi rybakami. Nadmorskie wsie rybackie są samowystarczalne, żyją z własnej pracy, a ponad to stanowią podstawę całego przemysłu rybackiego.

— Wszak Jakub powiedział — szczyści się kapitan znajomością biblii — o synu swym, Zebulunie, że osiągnąć ma nad brzegami morza.

— Tak też mają uczynić, uśmiecha się mój ciekawy rozmówca, ci młodzieńcy, których tu szkolimy. A mocnym głosem dodaje:

— Muszą, muszą osiągnąć nad brzegiem morza palestyńskiego, stworzyć tam pierwszą żydowską osadę rybacką i żyć ze swej pracy. Tak oto powstać ma pierwsze żydowskie pokolenie rybackie.

Zbliża się do nas instruktor z majtrem. Pierwszy — to jedyny w Polsce Żyd — „wodziarz”. Z zawodu inżynier, specjalizował się przez długie lata w żeglarskiej, jak sam twierdzi — źle się czuje na lądzie, za to doskonale w wodzie i „na wodzie”. Kilka lat temu zebrał w Warszawie grono młodzieńców, postarał się dla nich o kajaki i urządził spływ na Dunajcu. Obecnie szkoli uczestników kursu rybackiego „Zebulun”.

Majster jest Kaszub-rybak, praktyk w „radzie pedagogicznej” kursu. Jest to typowy rybak nadbałtycki. Przejęty jest swą rolą i wciąż pogania kapitana i instruktora, aby naładowali chłopów jak największym zasobem wiedzy rybackiej, bo „chłopaki muszą w Palestynie ales rybacką wiedzę”. Przedstawiając mi się, majster zaznacza, że pierwszy w Gdyni wśród Kaszubów wywieśił w 1919 r. polską flagę. Nie chce jednak długo rozmawiać i zwraca się do kapitana z propozycją, aby mnie oprowadzić po kwaterze i „obejść”.

Na podwórku rozłożone są sieci rybackie, które suszą się na słońcu. Kierownicy kursu zaznają mi, że z wszystkimi rodzajami sieci (dyferencjacja według powierzchni oczek) oraz z całym sprzętem rybackim. Zatrzymuje się przy odwróconym do góry dnem kutrze.

— Posiadamy dwa kutry — objaśnia kapitan — jeden większy i drugi mniejszy. Ten, który Pan teraz ogląda, to najmniejszy kuter rybacki, służący do małych, niedalekich wypraw. Drugi nasz kuter, większy jest nad brzegiem morza i w nim właśnie wybieramy się dzisiaj z Panem na morze. Zanim jednak wejdziesz do chłopów na kwaterę, chciałbym Panu powiedzieć kilka

słów o programie naszej pracy.

— Otóż, przede wszystkim dajemy chłopcom pełną naukę o morzu i jego brzegu, o żeglarskiej, kompasie, meteorologii i t. d. Poza tym uczymy chłopów rybołówstwa w najszerszym tego słowa znaczeniu. Specjalną uwagę zwracamy na etykę rybacką. Istnieją wśród nas piękne zwyczaje i tradycje. Są one z natury rzeczy obce naszym chłopcom, pochodzącym z zupełnie odmiennych środowisk. Chcemy wykształcić tu „echte Seelute”. Na morzu nie ma tych antagonizmów, które istnieją na lądzie. Z chwilą, gdy rybak wyjeżdża na morze, przestają dlań istnieć różnice ras, narodowości, wyznań. Jest tylko jedna wielka rodzina morska, w której panować musi solidaryzm. Niezwykłą satysfakcję stanowi dla mnie fakt, że dane mi jest te szczerne idee wpajać w tych, którzy pierwsi dokonają dzieła zbliżenia morza palestyńskiego z narodem żydowskim.

— W związku z obecną moją pracą zaczęła mnie interesować bardziej, niż kiedykolwiek dawniej, Palestyna, którą zresztą znam ze swych podróży. Mam wrażenie, że praca moja nie skończy się na tym, co Pan teraz widzi. W każdym razie miło mi Panu powiedzieć, że uczyć się hebrajskiego, dodaje kapitan, uśmiechając się i mocno ściskając mi dłoń.

Wreszcie — właściwa kwatera. Chłopcy przy pracy. Jedni cerują sieci, drudzy naprawiają podniszczone części kutrów lub sprzętu rybackiego, inni w ogóle przy czymś majstrują. „Po próżnicy” nie siedzi nikt. Młódź radosna, swowska. Dobrali się chłopcy zdrowi, odważni, żyli się, wzajemnie polubili i tworzą miłą „rodzinkę rybacką”.

Rozmowa moja z chłopcami potoczyła się od razu niezwykle swobodnie. Zachwyceni są wszyscy morzem, pracą swą kochają. Gdy na święta wielkanocne rozjechali się na krótki urlop do domu, nie mogli się doczekać chwili powrotu do Gdyni.

Kapitan rzuca rozkaz:

— Przygotować wszystko do wyjazdu na morze! Zabieramy dwie sieci!

Chłopcom zaświeciły oczy z radości (była to pierwsza po powrocie z urlopu wyprawa), rażno rzucili się do pracy — funkcje swoje spełniali swobodnie, bez wojskowego rygoru, zato sprawnie i w atmosferze wz-

ajemnej solidarności.

Przebiegam się w strój rybacki: buty z cholewami, kożuszek, swetr i ciepła czapka i udaję się z całą załogą nad brzeg morza.

Chłopcy maszerują przed nami w ustalonym szyku, dźwigając fachowo i sprawnie sieci, maszty i żagle.

Jesteśmy nad brzegiem morza. Załoga zabiera się do odwracania kutra (robi to niezwykle sprawnie i na komendę), zakładania masztu, naciągania żagli, napełniania worków ziemią i nakładania na dno kamieni (dla obciążenia kutra) i t. d. Po dwudziestu minutach żaglowiec jest gotów do drogi. Spychamy go do morza i wsiadamy do kutra. Żagle są narazie opuszczone i chłopcy naprężeni wsiadają. Morze skąpane jest w słońcu i mieni się tysiącami barw. Powietrze jest spokojne, wiatr b. słaby. Od dalamy się co raz bardziej od brzegu. Majster — Kaszub przepowiada pogodę na cały dzień biejący i następny. Stwierdza z całą stanowczością, jaki jest w danej chwili stan na Morzu Niemieckim, Atlantykim i t. d. Kapitan wydaje komendę, aby rozwinąć żagle. Potem zaczyna się procedura zakładania sieci. Do krążka korkowego, w który wetknięty jest kij z chorągiewką, do którego przymocowany jest początek sieci, przynajmuje się długi sznur, obciążony kamieniem. Kamień zanurza sznur do wysokości krążka korkowego w wodzie, a na powierzchni zostaje kij z flagą. W ten sposób rybacy poznają po kilku dniach, w którym miejscu założyli sieć. Chłopcy zwolna, rytmicznie rozwijają sieć i zakładają ją w morzu. Pracą swą są przejęci i spełniają ją niemal z nabożeństwem.

Właściwy cel wyprawy: założenie sieci na przeciąg paru dni — został spełniony. Jedziemy jednak dalej — dla przyjemności — i wszyscy mile gawędzimy. Jedziemy b. wolno, bo wiatr jest słaby. Jeden z kursistów skarży się z tego powodu przed kapitanem.

— Kratz den Segel (podrap żagiel), powiada kapitan, uśmiechając się.

Robię zdziwioną minę. Po chwili wszyscy chórem wyjaśniam, że jest to trick żeglarski — tak sobie, dla uciechy.

Starszy kursista sięga po fajeczkę. Kapitan spojrzawszy nań gniewnie, ale po przyjacielsku zapytał:

— Seit wann rauchst du im Dienste? (od kiedy palisz podczas służby).

Młodzieniec zawstydzony włożył z powrotem fajkę do kieszeni.

Wracamy. Zbliża się wieczór. Morze jest spokojne. Powietrze nas rozbiiera. Płyniemy wolno, nucąc palestyńskie pieśni. Sekunduje nam wcale nieźle pan kapitan, a czasami i Kaszub coś niecoś basem wykrztusi.

Na obiad idziemy wszyscy do knajpki portowej. Jest i apetyt i humorek. Chłopcy mają już zupełny „sznyt” marynarski. Z fantazją kurza fajeczki, ochoczo tańczą z dziewczynkami. Zabawiamy się do późnego wieczora.

Z całym bractwem żyłem się bardzo w ciągu jednego dnia i trudno mi było z nim się rozstać.

Do domu wracam naładowany mnóstwem nowych wrażeń, wrażeń, których dostarczył mi dzień, spędzony z żydowskimi rybakami na Bałtyku.

I. Kleinbaum.

## Od Redakcji

W Nr. 12 „Steru” zakończyliśmy druk pierwszej książki powieści Liona Feuchtwangera

p. t.

## Falszowy Neron

Druk drugiej książki tej rewelacyjnej powieści, w której pod postacią samowznajęcego cesarza rzymskiego ukrywa się jeden z współczesnych dyktatorów europejskich, — rozpoczniemy w jednym z najbliższych numerów „Steru”.

## Roman Brandstaetter

## HISZPANIA NIE BĘDZIE ABISYNIA

Są. Są i tu. W hiszpańskim Marokku, w Tatanie, w Settanie, w arabskich osadach, w miastach i miasteczkach, po wsiach, na najdalszej prowincji, dokąd tylko raz na tydzień drogą karawanową dochodzi extrapocztą. A są też w samej Hiszpanii, w Grenadzie, w Satanderze w Bilbao, w Madrycie, w Walencji, w Alicante, w Barcelonie, w Saragossie. A są też na błękitnych Blearach, a nawet na sielankowej Majorce. Siedzą po towarzystwach okrętowych, transportowych, po redakcjach, konsulatach, poselstwach, knajpach — szpicie teutońskie, Arnoldey, Baumajstery, Fuchsy, von Rollandy, Zieglerzy, Weiduczy, te panienki i stenotypistki z handlowych legacji, te stenografistki z transatlantycznych kompanii, te dziewczynki z madryckich wahrenhausów. Przez długie miesiące pracowały pilnie michele, podstępnie, lecz wytrwale, zerkali uważnie to tu, to tam, niby pogrążone po uszy w sprawach handlowych, niby tylko zajęte kalkulacją, płatnościami, weksłami i rachunkami, a w rzeczywistości cała ta gromada kumała się z hiszpańską prawicą przeciw lewicowej republice. A potem szły raporty nach Berlin, sążniste i dokładne, z wykresami i wskazówkami, z tabelami i statystykami. A potem odpowiedzi z Berlina do Madrytu, pospieszne i tajne instrukcje, co gdzie przypilnować i obniuchać, obstawiać, odrobić i obrobić, w co uderzyć, w co trafić, w co bić, na pewniaka, na ryzyko, na pica. Więc nad Sprewą już z góry wiedziano, że wybuchnie powstanie przeciw republice, że będzie krwawe i bezlitosne, że rozgrywka będzie bezapelacyjna i zdecydowana nie tylko o wewnętrzno-społecznej strukturze Hiszpanii, lecz także o ewentualnej hegemonii swastyki nad europejskim kontygentem. Na czoło tej grupy działającej w Hiszpanii, wysunął się niemiecki konsul w Marokko — von Brosch. Jakies podejrzenia indywiduum nazwiskiem inżynier Laugenheim, oraz tancerka-szansonetka i pulchna pulka w jednej osobie, niejaka von Sievers, walcząca się po teatuałskich kabaretach i tam występująca pod pseudonimem Irene de Versi.

Von Brosch — konsul Rzeszy Niemieckiej w hiszpańskim Marokko, oficer niemieckiego sztabu generalnego działający wśród hiszpańskich oficerów, którzy zsyłani do Marokka za antyrządową robotę, tutaj już knuli spiski przeciw Madrytowi. Brosch konsulat zorganizował w maleńkiej mieścinie, zdala od wielkich i ruchliwych centrów handlowych i przemysłowych. Konsulacik maleńki, willa na zewnątrz nieopieczona, szara, drobna, ale skoro zajrzyć do środka, natychmiast zorientujesz się, że tu sprawy wielkie się dzieją, które daleko wybiegają poza wąskie pasemko marokańskiego wybrzeża, a nawet oddziałują na europejską politykę. Intuicja cię nie myli. Pewnej lipcowej, upalnej nocy, konsul Rzeszy Niemieckiej von Brosch wsiadłszy do limuzyny w Tetuanie, pędził do Tangeru, a stamtąd do Ceuty, a gdy następnego dnia późnym popołudniem wrócił z powrotem do swej konsularnej siedziby, już huczały w Ceucie armaty powstańców, a królowie niemieckie, stacjonowane na oceanie Atlantycznym, pełną parą waliły do Tangeru. Więc konsul Brosch zajmuje stanowisko bardzo odpowiedzialne. Więc konsul Brosch ma bardzo wiele pracy. Więc konsul Brosch ma jeszcze do pomocy oddanych sobie współpracowników. Więc konsul Brosch tylko dystygnowaną robotę odwała, brudną pozostawiając inżynierowi Laugenheimowi.

Inżynier Laugenheim — niski, krępy mężczyzna, w średnim wieku, doskonale władający arabskim językiem, dobrze obznajmiony z trybem życia, i obyczajami tubylczych plemion arabskich, ich szekajów i szachrajów — w swej pięknej willi urządzonej na wzór wschodni, zainstalował tajną drukarnię, w której drukował ulotki podjudzające Arabów przeciw żydom marokańskim. W odezwach tych wychwalał Hitlera, jako wyswobodziciela i sympatyka mahometańskich ludów. Czytało się w tej sprawie w „Le Populaire”:

„Ten inżynier nazwiskiem Laugenheim, władający doskonale hiszpańskim i arabskim. Podczas gdy konsul Brosch wziął na siebie wojskowych hiszpańskich, Laugenheim przyjmował czołowych szekajów arabskich. Obaj pracowali w ścisłym porozumieniu. W obszernej willi Laugenheima mieściła się drukarnia, która produkowała ulotki w języku arabskim. Podjudzano w nich Arabów przeciw żydom i przedstawiano Hitlera jako oswobodziciela Marokka.”

Inżynier Laugenheim, drapichrót z pod najciemniejszej gwiazdy, lotrzyk o podejrzanym przeszłości, palając obstrukcją nawisnącą ku żydom, zwoływał konferencje arabskie do swej spelunki i tu pod takt lutni i tamburina, wśród wesołej wrzawy sutych uczt, tłumaczył ogłupiałym islamczykom, że żydowinów trzeba w pień wyciąć, i do nogi, i co do jednego. Judził inżynierem, prowokował, przyrzekał państwu arabskie do Gibraltaru aż po Syrię, ulotki antysemityczne rozpowszechniał, czynił szeikom prezencjki, prosił, krzyczał, błagał, ambicję do białości rozpałał, aż pewnego dnia — — — Aż pewnego dnia inżynier Laugenheim w asyście trzech ciemnych typów powożających na wielbłądach do Melilla i tu w skrytości długie konferował z faszystowską hałastą i a-

rabskimi muchtarami, i wreszcie wszystko dokładnie obradziwszy, powrócił radosny i zadowolony do swej siedziby, do Barrio-Marro. A dwa dni później doniosła prasa francuska:

„Sytuacja Żydów w Marokko hiszpańskim, które zajęte jest obecnie przez armię generała Franco'a, jest bardzo nie pewna. Cała gmina żydowska miasta Melilla osadzona została w obozie koncentracyjnym. Rozeszły się pogłoski, że niemieccy agenci wzięli w tym czynny udział.”

Ta akcja waleń była wspomaganą przez wspomnianą już tancerkę von Sievers, tajemniczą pulinetkę, primaballerinę marokańskich kabaretów, zabawiającą ongiś piasami oficerów francuskiej Legii Cudzoziemskiej, od których wydobywała ciekawe wiadomości strategiczne w czasie intymnych zbliżeń. Władze francuskie w porę zorientowały się kim jest właściwie ognista Sieversówna odmówiła jej prawa pobytu na terytorium francuskiego Marokka i odstawiły ją pod silną eskortą do najbliższego portu. Wówczas awanturka wyjechała do hiszpańskiego Marokka i tu dalej swą robotę prowadziła ku największemu zadowoleniu berlińskiej centrali. Madmłazęła von Sievers, fertyczne, zgrabne stworzonko, z pieprzem i temperamentem bałmucała sztab hiszpański w Marokko, — przy stołach zastawnych, na birbantkach, przy szampanie, w czasie awantur miłosnych. I tak to obalamuciwszy faszystujących oficerów, uczyniła ich narzędziem teutońskiej prowoki. Dziś znajduje się puleczka przy sztabie głównym generała Francesco Franco'a i jest tajnym łącznikiem pomiędzy nim, a krzyżackim szpionażem.

Czyż zatem zamieni się Hiszpania w Abisynię, w kolonizacyjny teren dla hitlerowskiej ekspansji handlowej?

Pomówmy o tym „Drang nach Süden”.

Natychmiast po wybuchu faszystowskiej rewolty w Hiszpanii, czytało się w prasie europejskiej komunikaty, w których jakby mimochodem wspomniano o tajemniczym drabancie imieniem i nazwiskiem — Juan March. Kim jest Juan March? Juan March — egoista, serce twarde, bezlitosne. Juan

March — jest obłudny i grzeczny. Ale skoro najdrobniejszy kamyczek napotka na swej drodze, ziarenko w pyłe ulicznych leżące — przeszkodę zmiata szybko, lecz spokojnie, walcami swych ciemnych uczynków. I tak po trupach do celu zmierzają Juan March tajemnie i skrycie swe plany realizuje, podziemne, światu zagładę przy noszące. Takim jest Juan March, hiszpański bankier, nieznanego bliżej pochodzenia, finansujący obecnie częściowo faszystowską rewoltę, — wczorajszy król giełdy madryckiej, właściciel wielkich latyfundiów na Majorce i Blearach. Kontrabandiarz, ongiś dostawca broni i amunicji dla Rif-Kabylskich plemion, atakujących jego ojczyznę. No i — serdeczny przyjaciel Gil Roblesa i Leroux'a, mąż opatrnościowy prawnicy, były poseł do Konstytuanty. Jaime Carner, były minister skarbu, w tych słowach scharakteryzował Juana Marcha, zdając o parlamencie wydania niesamowitego posła:

„March kroczy swoją drogą i uznaje jedynie prawo: swoją wolę. Dzisiaj nieprzyjaciółmi jego są Galarza, Prieto, Azana i ja sam; jutro będzie jego wrogiem ktośkolwiek z pośród was: ten, który mu zastąpi drogę. Takim jest człowiek, o którego wydalenie z Izby was proszę. Albo Republika podporządkuje sobie Juana Marcha, albo Juan March podporządkuje sobie Republikę”.

Dziś czeka March na zwycięstwo faszystowskich buntowników. Czekają i liczy. Szanse. Wie on bowiem doskonale, że z dniem zwycięstwa czarnej reakcji, w chwili, gdy Hiszpania pocnie jęczeć pod handlową dyktando Niemiec, rozpocznie się dla niego okres profitu. dojrzałych plonów, zbiorów bogatych, wschodzących z krwi hiszpańskich robotników, z ziemi goryczy, suto napojonej krzywdą ludzką. March wie doskonale, że tylko za plecami faszystowskich generałów i teutońskich agentów handlowych zdoła zrealizować swe plany, uruchomić maszynę korupcyjną, nadal uprawiać kontrabandę, ugniatać bezkarnie na Majorce plecy swych pańszczyńnianych chłopów i kraść co nie miara, w białych dzień, pod osłoną fałszywej praworządności i bańki czarnych batalionów. Więc March sturmabteilungom oj-

czyżne zaprzedał, obcym agenturom, które skwapliwie, lecz nie bezinteresownie rebeliantom z pomocą przybyły. Nie bezinteresownie? Posłuchajmy co o tej sprawie pisze jeden z korespondentów wojennych w amerykańskim „Heraldzie”:

„Niezmienne ważną rolę w przemyśle zbrojeniowym odgrywa ręć. Nawet w czasie pokoju fabryki amunicji zużywają 15 proc. całkowitej ilości wydobywanej ręci. Każdy granat, każdy pocisk armatni, każda kula karabinowa zawiera ręć. W produkcji ręci Hiszpania produkuje, wytwarzając 40 proc. całkowitej produkcji światowej. Na drugim miejscu znajdują się Włochy. Bez ręci prowadzenie wojny jest rzeczą niezmiernie trudną. W razie zwycięstwa powstańców Niemcy mogłyby zostać jedynym odbiorcą ręci hiszpańskiej, inne państwa mogłyby liczyć na nieznaczne ilości ręci, wydobywane w Stanach Zjednoczonych, Meksyku i Rosji. Hiszpania posiada również bogate kopalnie ołowiu (w Asturii), miedzi, cynku, rudy żelaznej i t. d. Jak widzimy zainteresowanie Niemiec Hiszpanią ma swoje głębsze powody. Na pomoc Hiszpanii demokratycznej Niemcy w razie wojny liczyć nie mogą, natomiast Juan March byłby „murowanym” sprzymierzeńcem Trzeciej Rzeszy”.

A prócz tego żywy zdrajca w razie zwycięstwa rebelii, przyobieczał Niemcom żywe wyspy Kanaryjskie i Rio del Oro, smaczne kaszki, tłuste, łatwo strawne, zalutujące zapachem hebanowych kolonii. Więc March dlonie zaciera i — czeka. A jego czarne, niespokojne oczy, gorejące ekstazyjnym ogniem spozierają na płonące fronty Hiszpanii. Z poza lasów bańki, z poza huczących śmigieł bombowych aeroplanów, z poza armat krążowników, z poza ognia pękających szrapnelów. Te oczy wszystko widzą, świdrują na wylot mglistą atmosferę, zaglądają do serc walczących żołnierzy, popędzają do bitwy zmęczone pulki, uskrzydlały samoloty, szybkości dodają torpedom. Oczy — gangstera, oczy — groźnego draba, oczy śmierci, pochylającej się nad Hiszpanią!

Lecz March sam nie walczy. March ma współnika, finansującego faszystowski

bunt. Royal Dutch Trust. Skumał się March z Royal Dutch'em, na którego czele stał ongiś mr. Henri Deterding. Nawzajem podszadził się. Wspólnie spłynęli dziwnym złotem. Hoinie. March — we własnym interesie. Royal Dutch — też we własnym interesie. March w obronie swych zagrożonych spekulacji giełdowych, Royal Dutch — w obronie swej zagrożonej nafty. Boi się March bankructwa swoich akcji giełdowych, które w chwili zwycięstwa rządu republikańskiego, straciłyby zupełnie swą wartość; boi się Royal Dutch utraty rynku hiszpańskiego, gdyż Sowietów już — już — — zalewały teren iberyjski tanią a tłustą ropą z Baku. Konkurencja! Kto zwycięży? Royal Dutch pierwszy uderzył. Przeczytajmy więc ostatnie rewelacje prasy amerykańskiej:

„Dowiedziawszy się o zamiarach lewicowych rządów w Hiszpanii i importowania nafty z Rosji Sowieckiej — angielsko - amerykańskie trusty naftowe poparły czynnie pieniądze i bronią antyrządowe ruchy, co doprowadziło do wybuchu wojny domowej. Jak donoszą korespondenci amerykańscy w Burgos, przy kwatrze głównej gen. Molla, bawili w charakterze ambasadora trustów naftowych hr. de Sibours, jeden z dyrektorów amerykańskiej firmy „Standard Oil”. Dla niepoznaki i utajenia właściwego celu pobytu, bawili wraz z nim całą jego rodziną”.

Ale to już nie po raz pierwszy w wspólnej walce o rynek hiszpański sprzymierzyli się Juan March i Royal Dutch. Jeszcze przed laty — March i Deterding, reprezentujący wówczas angielską naftę — współdziałali razem przy obaleniu rządów Primo de Riveri. Była to chwila, gdy siwłujący generał, chcąc uniezależnić Hiszpanię od naftowych spekulacji angielskiego naftarza i Standardu, skonfiskował rafinerie, zbiorniki i pompy benzynowe amerykańskich i angielskich trustów, a stworzywszy monopol naftowy, wydzierżawił go Wenezuelskiemu Towarzystwu Naftowemu. W umowie zawartej z Wenezuelskim Towarzystwem, zabezpieczył dyktator rządowi hiszpańskiemu kontrolę nad obrotem naftowym i 30% akcji. W ten sposób zamierzał naiwny Primo de Rivera wyswobodzić się z pod wpływów trustów Deterdinga i Standardu, które wysyskując Hiszpanię, dorobiły się na swych spekulacjach naftowych astronomicznych sum pesetów. Oto, co o tragicznym epilogu tej nierównej walki pisze najlepszy znawca polityki naftowej, Anton Zischka:

„March nabył za niskie ceny akcje towarzystwa, które dostarczało naftę dla monopolu Primo de Riveri. I nibawem w tym towarzystwie... poczęły dziać się dziwne rzeczy. Nagle przestało ono dostarczać ropy monopolowi hiszpańskiemu, a akcje jego krętkimi drogami zablądziły do rąk Anglików i Amerykanów. W dwa miesiące po przystąpieniu Marcha do tej gry, padł rząd Primo de Riveri. Zamach stanu udał się dzięki poparciu ludzi podstawionych przez Deterdinga. Nieco później, gdy rewolucja obaliła tron Alfonsa XIII, rząd republikański ogłosił listę papierów wartościowych, które król wywoził zagranicę: między innymi znalazły się poważne pakiety akcji Royal Dutcha i Standard Oil'u.”

Straszny i dziwny, zbrodniczy i potworny — ten spłót wypadków, począwszy od afera Marcha i Royal Dutcha, a skończywszy na owych akcjach, znajdujących się w sejfach Jego Królewskiej Mości Alfonsa XIII, — dziś zdebronizowanego monarchę, marzącego jeszcze o powrocie na hiszpański tron. Właśnie dziś, w chwili, gdy lud Hiszpanii stoi na barykadach, gdy krew republikanów płynie strumieniem po brukach iberyjskich miast, a ziemia drży pod bohaterami marszem proletariatu — słodko o powrocie na tron hiszpański marzy Jego Królewskość Mości Alfons XIII, były Król Hiszpanii, Wielki Książę Andaluzji, pan dziedziczny na Kastylji i właściciel — akcji Royal Dutcha i Standard'u!

Co za koszmarny typ! Ciemne, śliskie, obrzydliwe! Polipy! Zjawiają się te kreatury w dniach dla narodu najbardziej krytycznych, wyskakują nagle z pod ziemi, z ciemnych nor i zakamarków, i rozpoczynają swą pracę bezczelną na zgubę powszechnego dobra, a ku chwale swych kieszeni — szczególnie nabytych srebrnikami. Więc z lekkim sercem podpisał March tajny układ z Royal Dutch'em! Royal Dutch — dusi się! Łaknie hiszpańskiego rynku zbytu. Na układzie zarobi March i Royal Dutch. Straci Hiszpania.

Czyż zatem zamieni się Hiszpania w Abisynię, w kolonizacyjny teren dla hitlerowskiej ekspansji handlowej?

Ludu Hiszpanii, broniący wrót Madrytu i Barcelony! Ludu Hiszpanii, stojący w huraganowym ogniu działań faszystowskich! Ludu Hiszpanii, walczący o swą przyszłość w mecie ran i w śmiertelnym rzeżeniu rozoranych bańkami pierś! Ludu Hiszpanii! Biada ci, gdy legniesz u stóp Juana Marcha i Royal Dutcha, biada ci, gdy w twoich portach zakotwiczą się stalowe tankowce angielskich i amerykańskich trustów, gdy maklerzy notować będą akcje właściciela błękitnej Majorki, gdy w Barcelonie niemieckie statki towarowe poczną ładować twoją — o Hiszpanio! — ręką!

Inż. A. Glizer

## Azjatycki pakt czterech

(KORRESPONDENCJA WŁASNA „STERU” Z PALESTYNY)

Rozwijają się nicoi nowej konfiguracji politycznej na Bliskim i Środkowym Wschodzie azjatyckim. Przewrót, który się dokonał w roku ubiegłym w Iraku, zmienił zasadniczo tendencję i kierunek polityki międzynarodowej na tym rzadko zaludnionym ale komunikacyjnie i strategicznie bardzo ważnym obszarze. Zmiany te, których można się było krótko po bagdadzkim coup d'état tylko domyślać, zaczynają się stopniowo ujawniać. Sprawa traktatu przyjaźni, który ma być zawarty między Turcją, Irakiem, Iranem (Persją) i Afganistanem, staje się do pewnego stopnia problemem głębokości tych zmian. Ten azjatycki „pakt czterech”, który był już prawie zawarty, potem nagle znikł z powierzchni życia politycznego, aby teraz znowu wypłynąć, jest — w innym sensie i w innym układzie sił — obiektem nie mniejszego może skrzyżowania się szpad dyplomatycznych, niż był nim swego czasu pakt czterech w Europie.

Szukając wspólnego rysu, charakteryzującego zarówno Turcję, jak Iran i Afganistan, zatrzymamy się przede wszystkim na ich niezawisłości politycznej. Nie chodzi tu o formalną niepodległość. Trzy te państwa były niepodległe od wieków. Ale przypomnijmy sobie, co ta niepodległość oznaczała faktycznie w ostatnich latach przed wojną. Sytuacja tureckiego „chorego człowieka”, prawdziwa wartość wewnętrzna jego niepodległości politycznej, formalnie zresztą ograniczonej przez kapitulację, jest powszechnie znana. Turcja żyła tylko dzięki rywalizacji mocarstw europejskich o udział, któryby przypadł każdemu z nich w ewentualnej schizmie. Inaczej wprowadzić niż Turcja, były jednak Persja i Afganistan także całkowicie niepodległe tylko na piśmie. Praktycznie toczyła się na ich terenie nieustająca walka Rosji z Anglią o sfery wpływów.

Przemiany, które zaszły po wojnie w trzech tych państwach, zmieniły radykalnie sytuację. Tradycyjne orientalne despotie padły. Zastąpiły je nie mniej może w gruncie rzeczy absolutystyczne ustroje, które jednak z zachowaniem formy monarchicznej lub bez tej ostatniej w sposób dyktatorski zsekularyzowały i zeuropelizowały swe państwa. Równoległe z europeizacją życia i obyczajów i wzrostem wpływów kultury i cywilizacji europejskiej nastąpiła likwidacja wpływów państw europejskich. Turcja, Iran i Afganistan są dziś naprawdę politycznie samodzielne.

Sprawa Iraku przedstawia się zupełnie inaczej. Państwo to powstało na gruzach dawnego imperium otomańskiego, jako królestwo, poddane opiece Anglii, sprawujące mandat z ramienia Ligi Narodów. Na tronie osadzono Feisala, nie ma-

jącego właściwie z Irakiem nie wspólne. Była to osobistość wybitna, jedyny obok Lawrence'a prawdziwy wódz powstania arabskiego przeciw Turcji, które formalnie przewodził jego ojciec, szeryf Mekki Hussein, późniejszy król Hedżasu do chwili zwycięstwa Ibn-Sauda. Feisal miał właściwie panować w Damaszku. Sprzeciw Francuzów unicestwił ten plan i Feisal dostał w końcu tron bagdadzki. Panował on tu, otoczony współpracownikami i przyjaciółmi swymi i Lawrence'a z czasów powstania. Był to, podobnie jak Feisal, przeważnie ludzie obcy Irakowi, a zwłaszcza szczykiew jego wieksości (jak wiadomo, istnieje wśród muzułmanów rozłam religijny, podobny trochę do rozłamu między Żydami a Karaitami: większość muzułmanów, sunici, uznaje obok koranu również późniejsze sunny, mniejszość zaś, szyici, odrzuca te ostatnie. Iran i przeważna część Iraku są szyickie). Władza Feisala opierała się przede wszystkim na jego walorach osobistych i na współpracy z Anglią, występującą pierw w charakterze opiekuna Iraku, później w charakterze sprzymierzeńca, związanego z formalnie niepodległym Irakiem specjalnym układem „przyjaźni”, zezwalającym m. in. na stacjonowanie angielskich wojsk lotniczych w pewnych punktach.

Po śmierci Feisala przeszedł tron na młodziutkiego syna jego Ghazi'ego. Faktyczna władza pozostała w ręku przyjaciół ojca, którzy kontynuowali politykę interesowania się wszelkimi sprawami arabskimi (jaskrawy przykład: interwencja ministra spraw zagranicznych Nuri Paszy w Palestynie w roku ubiegłym), najwidoczniej nie bardzo dbając o sprawy wewnętrzne Iraku. Przewrót wojskowy obalił ten rząd i oddał ster w ręce Kurda w charakterze głównodowodzącego wojskiem i rzeczywistego dyktatora oraz Turka w charakterze premiera.

Kierunek zainteresowań nowego rządu od razu biegunowo się odwrócił. Zamiast panarabizmu zapanowało hasło „Irak dla Iraków”. Sprawy wewnętrzne wysunęły się na plan pierwszy. O ile zaś chodzi o sprawy zagraniczne, nastąpiło przestawienie kursu. Nowi władcy nie poszli po linii antyangielskiej, jak tego z wielu stron, również i w Anglii, oczekiwano. Byli oni na tyle roztropni, aby zrozumieć, że Irakowi warto żyć w zgodzie i przyjaźni z Anglią. Ich irakocentryczny program jest najwidoczniej uczciwie pomyślany, a poodejrzania, że przewrót był dziełem Niemiec lub Włoch, przesadzone. Przyjazne stosunki z Anglią a dawna „przyjaźni” — to jednak dwie różne rzeczy. Nie dziwnego, że w tych warunkach poczęł Iak ciążyć ku sąsiadom nie-arabskim, ale za to samodzielnym, zwłaszcza, że tendencje wewnętrzno-polityczne nowego rządu tak-

że dobrze się zgadzają z kursem modernizacyjnym Turcji, Iranu i Afganistanu. Na tym tle zrodziła się też koncepcja traktatu wzajemnej pomocy tych czterech państw.

Ciekawe są losy tego traktatu. W ostatniej chwili przed jego zawarciem sprawa utknęła. Był to rezultat wpływu Anglii na obecny rząd Iraku, z którym Anglia z właściwą sobie zdolnością godzenia się z faktami dokonanymi — także się pogodziła. Anglia nie powinna właściwie mieć nic przeciwko temu paktowi wchodniemu. Stosunki anglo-tureckie są obecnie tak dobre, że włączenie, mniej z angielskiego punktu widzenia pewnych, państw w orbitę wpływów Turcji powinno być raczej być Anglii na rękę.

Obiekcje angielskie skądinąd jednak wynikły. Był czas, kiedy istnienie kilku państw arabskich, wrogów wobec siebie uosobionych, nie przeszkadzało Anglii. Feisalowi i bratu jego Abdalli, emirowi Transjordanii, trudno było pogodzić się z powodzeniem Ibn-Sauda, pogromy ich ojca Husseina, a potem i brata Ali'ego, których Ibn-Saud pozbawił królestwa Hedżasu, a nawet Kalifat.

Ukazanie się Włoch na horyzoncie, próby właśnie wyzyskania tych i innych (Jemen-Saudia) antagonizmów dla swoich celów zmieniły metody Anglii. Anglia woli zjednoczoną Pan-Arabie pod swymi auspicjami od skłóconej, poddanej częściowo wpływom „konkurencji”. Stąd wysiłki Anglii ku ugruntowaniu „pax britannica” w Arabii, których ukoronowaniem było doprowadzenie swego czasu do układu o współpracy i wzajemnej pomocy między Irakiem a Saudia. Stąd niechęć jej do wszystkiego, co osłabia wspólność arabską, żyćliwość jej dla wszystkiego, co tę wspólność wzmacnia. Stąd właśnie z jednej strony sprzeciwianie się paktowi wschodniemu, wyrwywającemu Irak z kręgu arabskiego, z drugiej niesprzeciwianie się ingerencji państw arabskich w sprawę Palestyny. Stąd taki paradoks, że w tych dniach pojechała z Iraku do Jemenu delegacja celem przyciągnięcia Jemenu do układu irakosaudyjskiego, złożona z samych... przeciwników obecnego rządu, ale zato dawnych działaczy pan-arabskich.

Teraz znowu donosi agencja Stefaniego (także charakterystyczne: nie żeby robota włoska, ale zawsze na złość Anglii), że Turcja i Iran już podpisały układ i przygotowują się do rozszerzenia go na Afganistan i Irak. Podpisanie lub niepodpisanie go przez Irak będzie problemem siły różnych czynników, działających na rząd tego kraju. Może to zarazem być wydarzeniem doniosłym dla przyszłych losów panarabizmu, a przez to wpływającym pośrednio na rozwój wydarzeń w Palestynie. Tel-Aviv, 25. 4. 37.

## APOLINARY HARTGLAS

## STRUSIE I CHŁOPCZYK\*)

## II.

Wyparci ze swych dotychczasowych placówek, chwycili się Żydzi zawodów, będących w istocie tylko wypełnieniem luk pomiędzy poszczególnymi istnieniami komórkami gospodarczymi miejscowych narodowych organizmów. Nie weszli oni przeto do krajowych organizmów gospodarczych, jako równoprawnie, nie zajęli placówek ekonomicznych w tych samych dziedzinach, w tych samych zawodach, co ludność rdzenna, tylko stworzyli odrębne pośredniczące komórki (proszę nie utożsamiać z pośrednictwem). Wskutek tego właśnie nie rozplynęli się wśród ludności miejscowej, nie zasymilowali się z nią, lecz zachowali swoją odrębność. Komórki pośredniczące w sumie nie dają normalnego organizmu gospodarczego ze wszystkich podstawowymi warstwami ekonomicznymi; komórki pośredniczące nie mogą, same nawiązane między sobą, prowadzić życia samoistnego, lecz są uzależnione od podstawowych gospodarczych komórek ludności rdzennej. Dlatego też żydostwo w rozproszeniu, jakkolwiek zachowało swoją odrębność, — nie mogło stworzyć normalnego, pełnego życia narodowo-kulturalnego, lecz musiało się zadowolnić pewnymi wypaczonymi, niedoskonałymi jego formami, pewnymi namiastkami.

Przy tym wszystkim żydostwo nie zatraciło zmysłu krytycznego ani świadomości swojego życia kulturalnego, którą unaoczniało mu przyglądanie się pełnym formom życia narodów normalnych, posiadających wszystkie warstwy ustrojowe. Tęsknota za osiągnięciem takich samych życiowych możliwości, jakie posiadają inne narody, pociągała się wśród społeczeństwa żydowskiego co raz bardziej, przyjmowało, co raz bardziej wyraźne, świadome, określone i współczesne formy, aż się wylała w dążenie do utworzenia własnego normalnego życia na własnej ziemi w warunkach możliwej niezależności politycznej, to znaczy w syjonizmie.

Stąd wynika, że syjonizm nie jest bynajmniej jakąś funkcją przymusowej emigracji, ani następstwem pogorszenia się sytuacji Żydów w diasporze, zubożenia ich czy spotęgowanej eksterminacji — jak życzyliby sobie pseudojudofile i szczerzy antysemita, a jak sądzą nawet niektórzy syjoniści i ostatnio głoszą rewizjoniści, — lecz produktem dojrzewania świadomości narodowej, pociągającej się w społeczeństwie żydowskim sił żywotnych, które prą do normalnego życia, a nie mogą w diasporze znaleźć ujęcia. Pod wpływem tej pociągającej woli życia zarysowuje się wyraźniej kontakt pomiędzy ideałem a smutną rzeczywistością, zaczyna się doszukiwanie przyczyn tej ostatniej, źródła trawiącej nasz naród choroby, która uniemożliwia mu osiągnięcie takich samych praw pełnego życia, jakie widzimy u ludów nas otaczających, zaczyna się doszukiwanie tego, co nas różni, — i paść musi wreszcie odpowiedź: brak własnego terytorium. Kto dla uniknięcia tej odpowiedzi zamyka oczy — ten przypomina strusia, chowającego głowę pod skrzydło, żeby nie widzieć tego, co jest niemiłe.

Terytorium własne da nam możność utworzenia na nim wszystkich warstw gospodarczych, utworzenia doskonałego, pełnowartościowego i wszechstronnego organizmu gospodarczego, to znaczy możność stworzenia takiej podstawy ekonomicznej, nad którą jest możliwa nadbudowa pełnego zdrowego narodowo-kulturalnego życia. Nasza dawna odrębność narodu uniemożliwiła nam przeniknięcie do komórek organizmów gospodarczych ludów rdzennych i rozplynięcie się w nich i zmusiła nas do stworzenia jakiegoś niedrobnego surrogatu gospodarczego, złożonego z komórek pośredniczących; istnienie tego surrogatu ze swej strony umożliwiło nam zachowanie naszej odrębności narodowej, pewnej niedoskonałej odrębnej kultury, — też jakby surrogatu. Gdyby nastąpiła przebudowa społeczeństwa na zasadach socjalistycznych, to — należy przy-

puszczać — po pewnym okresie reminiscencji antysemitycznych z czasów kapitalistycznych, z epoki walki klas i walki konkurencyjnej wewnątrz klas o pracę, o kawałek chleba, nastąpiło by kompletne równoprawnienie Żydów w dziedzinie prawa do pracy. Odpadło by bowiem to, co powodowało niedopuszczanie obcego do pracy: konkurencja, walka o pracę. Ale konsekwencją tego dopuszczenia Żydów do pracy byłby zanik bodźca, który powoduje obecnie skupianie się Żydów w pewnych zawodach i na pewnych miejscach. Obecnie jedni Żydzi wykonywują funkcje pośredniczące, drudzy zaś grupują się dookoła nich, jako konkurencji, tworząc pewne dobra dla potrzeb tego wewnętrznego żydowskiego rynku. To wszystko przysłoby, i Żydzi weszliby mniej więcej równocześnie do wszystkich placówek organizmu gospodarczego kraju, do wszystkich jego trybów i kółek, i jako względnie nieliczna mniejszość, równomiernie rozproszona, wszędzie dopuszczona, a nie posiadająca nigdzie stałego centrum, skąd płynąca mogła zdrowa, normalnie się rozwijająca, własna kultura narodowa, — zasymilowałaby się wszędzie w szybkie tempie z otaczającą większością i znikłaby bez śladu. Jednostki żydowskie może nie nie mają przeciwko temu, ale naród żydowski, jako zbiorowość, posiada wolę odrębnego życia. Syjonizm jest wykładnikiem tej zbiorowej woli narodu do życia narodowego, i dlatego nie odracza on momentu rozwiązania problemu żydowskiego do czasu przebudowy ustroju społecznego świata — bo wie, że wówczas narodowi żydowskiemu, jako takiemu — grozi śmierć, lecz chce skupić znowu większość czy znaczącą część narodu żydowskiego na jednym terytorium, stworzyć z niego normalny wszechstronny organizm narodowo-gospodarczy, żeby i przy zmienionym ustroju świata nie rozplynął się w obcych organizmach, nie zniknął, lecz żyć z nimi na równych prawach i rozwijać się. Jeżeli Bund nie chce widzieć tej naturalnej konsekwencji śmierci narodowej w warunkach przebudowy ustroju społecznego świata i po zaniku antysemityzmu — to znowu przypomina strusia. Jeżeli zaś to widzi i na to się godzi, — to pociąga czasowe podtrzymywanie odrębnej narodowej kultury żydowskiej, skazanej przecież z punktu widzenia socjalistycznego rozwoju na zagładę? Chyba że powraca on do swoich pierwotnych koncepcji i traktuje swój program kulturalny jedynie jako praktyczny środek propagandowy dla innego celu, bez wiary w przyszłość tej kultury, — ale w takim razie niech to powie wyraźnie. Niech powie wyraźnie, że zmierza do nieuniknionej asymilacji Żydów, — wprawdzie do asymilacji w ustroju socjalistycznym, — zaś cały jego program kulturalny ma tę samą wartość i ten sam cel, co asymilacyjne pismo w języku żydowskim, wydawane w swoim czasie przez ś. p. dra Henryka Nusbauma. Ale wówczas pozostanie mu wśród Żydów akurat tyleż zwolenników, wiele pozostało dr. wi Nusbaumowi.

Pewne koła żydowskie, przemilczające chętnie antysemityzm tam, gdzie jest w istocie, ale zańdado szafujące tym określeniem, gdy to niczym nie grozi, zańdado wulgaryzują pojęcie antysemityzmu. Abstrahując zupełnie od faktów, od historii, zartwożeni, że z szeregów tych, których popierali dotychczas, zarówno na ulicy żydowskiej, jak i na ulicy polskiej, padło ostatnio hasło ewakuacji, — zaczynają dowodzić, że nieprzenikanie Żydów do placówek gospodarczych rdzennych społeczeństw nie jest pewnym naturalnym objawem obiektywnym, nie jest logiczną konsekwencją rozproszenia narodu, tylko skutkiem antysemityzmu. Dowodzą, wbrew rzeczywistości, że niech no tylko ustanie antysemityzm, a niezwłocznie Żydzi znajdą zastosowanie dla swej pracy we wszystkich dziedzinach. Gdyby to twierdzili asymilatryzy, to byłoby rzeczą zrozumiałą: jest to ich pium desiderium, prowadzące do wymarzonego celu, do asymilacji, zaniku. Ale ci Żydzi podają się za narodowych a nie rozumieją, czy udają, że nie rozumieją tru-

izmu, iż w ślad za przeniknięciem Żydów bez tarć i przeszkód, równomiernie, do wszystkich placówek gospodarczych w diasporze musi nastąpić asymilacja i zanik. Jest to zresztą tylko fantasmagoria, bo coś podobnego przy ustroju kapitalistycznym, przy obostrzonej konkurencji i walce o byt, jest niemożliwością. Ale zamiast krzycheć o antysemityzmie, jako czynniku zasadniczym, jako o promotorze, — lepiej byłoby stwierdzić obiektywną kolejność zjawisk: niewpuszczenie do organizmu gospodarczego było następstwem odrębności Żydów i ze swojej strony dopomogło do dalszego utrzymania tej odrębności, od uchronienia nas przed asymilacją; antysemityzm — to już zjawisko wtórne, to nienaturalne, sztucznie spotęgowana akcja niewpuszczania, to planowe przeistoczenie niechęci w nienawiść, to wymaginowana obawa przed urojonym wrogiem, to cynizm, który potęguje nasze cierpienia w naszej nienormalnej sytuacji, ale nie on tworzy tę sytuację, — bo ją stworzył czynnik obiektywny: brak terytorium. Radykalny środek przeciwko antysemityzmowi — to nie rozmaite mdłe ligi do walki z antysemityzmem, ani biadania, że antysemityzm istnieje i wszelkich łajdactw się dopuszcza, a — syjonizm. Zamykanie oczu na tę wyraźną rzeczywistość — to tchórzliwe uciekanie od prawdy życiowej, to strusia polityka.

Tę prawdę obwieścił światu syjonizm już 40 lat temu, a przed 30 laty pisał o tym i niżej podpisany i inni w ówczesnym „Głosie Żydowskim”, a co najciekawsze: pisali to samo wówczas i niektórzy spośród tych, którzy obecnie z antysemityzmu robią przyczynę, a nie objaw wtórny, nie symptom anormalnej sytuacji Żydów, — którzy teraz, po 30 latach, udają zdziwionych i stróżują: sza, cicho, po co o tym teraz mówić? Tak, jakgdyby ich milczenie mogło zagłuszyć objawy realnego życia, którego tendencje rozwojowe zdrowym instynktem wyczuł naród żydowski i potwierdził czynem, tworząc w ciągu 15 lat przeszło 400.000-ny jiszuw żydowski w Palestynie z własnym językiem, własną kulturą i... własnym portem i wciągając w orbitę zainteresowań palestyńskich całe już nieomal żydostwo świata.

A teraz — emigracja, ewakuacja i t. d. Skoro żydostwo w diasporze wypełnia tylko luki pomiędzy komórkami organizmu gospodarczego narodów rdzennych, (bo gdyby przenikło równomiernie do samych komórek — to by się zasymilowało), to jasna jest rzecz, że w miarę rozrostu tych komórek i tworzenia nowych, też uzupełniających dawne luki, Żydzi ulegają pewnemu wyparciu, częściowo wypełniając nowopowstałe luki, a częściowo przesuwając się w celu szukania luk w innych organizmach gospodarczych, które znowu wypełniają — z wielką, mówiąc nawiasem, korzyścią dla tych innych organizmów. Ten proces rozrastania i wypierania wywoływał zawsze wśród Żydów odruchy emigracyjne, i na całej przestrzeni dziejów żydostwa w diasporze stale widzimy przesuwanie się centrów żydowskich z kraju do kraju. Migracja Żydów była stopniowa i niezachodząca, nie przynosząca szkody krajom emigracji i niezwiązana z nadmiernymi cierpieniami żydostwa, — jak np. z Niemiec do Polski, — to gwałtowna, rujnująca kraj emigracji i pełna tragedii dla Żydów, — jak emigracja z Hiszpanii. Wszystko to zależało od stopnia nasilenia wtórnego objawu tego procesu wypierającego, antysemityzmu. Że wypełnianie luk w nowym organizmie społecznym odbywało się z korzyścią dla tego ostatniego, to stwierdza fakt zaproszenia, werbowania imigracji żydowskiej przez Polskę i inne kraje. Emigracja jest stałym objawem życia żydowskiego, ale nie można jej traktować, jako właściwej istoty problemu żydowskiego, ani jako panaceum na wszystkie bolączki żydowskiego życia. Emigracja jest tylko symptomem anormalnej gospodarczej i narodowej struktury żydostwa, jej funkcja, podobnie jak gorączka nie jest ani istotą choroby, ani lekarstwem na nią (mimo iż sygnalizuje walkę pomiędzy zarazkami a zdrowymi ciałkami

krwi), a tylko symptomem, stwierdzeniem choroby. Stałość procesów emigracyjnych uświadomiła nam tylko nasz stan anormalny i pobudziła myśl naszą i wolę w kierunku osiągnięcia sytuacji normalnej, rozbudowania się na określonym terytorium, wrośnięcia w nie, przybicia do stałej przystani i zlikwidowania nieustannej migracji; dążąc do tego celu wyzyskujemy oczywiście naturalne tendencje i objawy życia żydowskiego, a więc i emigrację i nawet proces wypierania gospodarczego.

I ten fakt istnienia obiektywnego, nie — antysemitckiego wypierania i powodowanej tym nieustannej emigracji został przez syjonistów stwierdzony nie dzisiaj dopiero, i był już szeroko omawiany od lat 40, a przez niżej podpisanego już przed 30 laty. Nie ma więc powodu do robienia dzisiaj niezadowolonych i zdziwionych min, do zaprzeczania faktem oczywistym, z nadmienieniem: „Po co to, akurat, teraz...” Że pewne niepoprzeczalne, albo niekulturalne czynniki chcą wypaczyć objaw emigracji żydowskiej, zrobić zeń przymusową ewakuację, tworzyć emigrację sztuczną i sztuczny proces wypierania — to jeszcze bynajmniej nie stanowi o tym, by ukrywać zupełnie odmienny objaw naturalnego w warunkach rozproszonego narodu gospodarczego wypierania i emigracji ponieważ „normalnej”. Za pomocą ukrywania nigdy się nikogo nie oszukalo, oprócz siebie samych. Właśnie wyjaśnienie różnicy pomiędzy obiektywnym, naturalnym wypieraniem i emigracją, a sztuczną eksterminacją i przymusową ewakuacją — może dopiero unaocznienie składowości tych ostatnich nie tylko dla Żydów i niecelowości ich pod kątem widzenia rozwiązania kwestii żydowskiej, nawet tylko dla Polski. Najbardziej szkodliwe jest mijanie się z prawdą. Jeżeli istnieje fakt obiektywnego wypierania i obiektywnej konieczności emigracyjnej — nie przemilczajmy ich i leczmy je naturalnym środkiem, własnym terytorium, syjonizmem, — ale na Boga, cóż to ma wspólnego z wojną straganową, bojkotem i eksceniami ONR-u i przymusową ewakuacją „Czasu”, Miedzińskiego czy Rose’go i „Iskry”?

Nie należy z drugiej strony też udawać naiwnych i ułatwiać sobie życia przez twierdzenie, że obiektywny proces wypierania Żydów w miarę rozrostu organizmów gospodarczych rdzennych jest tylko... przesuwaniem się Żydów na szczeble wyższe. Żydzi-emigranci wytworzyli w Ameryce pewne brakujące tam gałęzie produkcji wtórnej i byli w niej zatrudnieni jako robotnicy. Powoli jednak przetrzucają się do handlu i przeludnionych zawodów wyzwolonych, a ich miejsce zajmują murzyni i Włosi. P. Alter twierdzi: gdzież to wypieranie? to jest wspinanie się po drabinie społecznej. Ale czy istnieje jeszcze inne jakieś społeczeństwo na świecie, które by, wspinając się po drabinie, gubiło zupełnie niższe szczeble i nie miało drogi do odwrotu? Włoch amerykański też się będzie wspinał, ale on się zasymiluje z yankesami, przy czym część tych Włochów zostanie nadal w odebranych żydom placówkach, część posunie się do przemysłu wielkiego podstawowego, i do handlu, i do zawodów wyzwolonych, część znajdzie zatrudnienie w rolnictwie, t. zn. wnikną we wszystkie komórki życia amerykańskiego; pewna część tych Włochów, mimo mniej więcej równomiernego przeniknięcia do komórek amerykańskiego gospodarczego organizmu, oprze się asymilacji, gdyż nie straci kontaktu z promieniującą z ich ojczyzny własną kulturą, zdrową, żywą i rozwijającą się. A więc Włosi, jako równoprawna część organizmu gospodarczego amerykańskiego wyprze — a raczej już wyparła — Żydów z pewnych placówek, wyprze też oni, czy inni Amerykanie następnie z innych placówek, ale zawsze będą oni zatrudnieni we wszystkich komórkach, do których Żydzi przeniknąć nie mogą, a Żydzi wciąż będą przesuwali się z jednej szpary międzykomórkowej do drugiej, a w szparach, z których ich wyparto i które zostały zamienione na związane z innymi komórki jednego organizmu gospo-

darczego — Żydów już nie będzie. Nie będzie rezerwuaru, z którego się napelnia opuszczone pozycje. Dopóki istniała emigracja — taki rezerwuuar był jeszcze. U innych narodów takim rezerwuarem jest wieś, zajmująca niższe szczeble po przesunięciu się poprzedników na wyższe; jest to rezerwuuar w naszym widnokregu historycznym wieczny. U Żydów w diasporze wieś musi być zastąpiona emigracją. Z chwilą ustania emigracji niższe szczeble zostają opuszczone na zawsze, a my przenosimy się do innych luk (powiedzmy „wyższych”) i... wisimy w powietrzu.

Emigracja w permanencji — to symptomat naszej choroby narodowej. Ale w błędzie są ci nasi „przyjaciele”, którzy sądzą, że przez spotęgowanie wypierania nas z zajętych placówek, przez sztuczną eksterminację, przez przymusową emigrację przyspiesza proces pozbywania się nas, lub — jak twierdzą pewni „judofile” — przyspieszą realizację syjonizmu. Żadna walka o stragany, żadne bojkoty ani pikety nie potrafią poważnie przyspieszyć naturalnego procesu dziejowego. Nawet otworzenie dla Żydów jakiegoś terytorium i wywołanie przymusowe nań Żydów z do starczeniem im funduszy na urządzenie się — też sprawy nie załatwi: bez idei Żydzi fundusze zmarnują i wrócą najrozmaitszymi drogami. Naturalnych procesów załatwić sztucznie nie można. Kto sądzi inaczej, ten przypomina naiwnego chłopca, który, nie mogąc doczekać się rozwinięcia kwiatu z paczka, sam niecierpliwie palcami rozprostowuje listki paczka. Kwiatu nie otrzyma przed naturalnym czasem, — co najwyżej paczek mu zwiędnie, ale kwiatu nie da.

Należy mieć odwagę spojrzeć prawdzie prosto w oczy. Jeżeli struktura gospodarcza Żydów w diasporze i ich narodowo-kulturalna nadbudowa, skutkiem braku terytorium własnego, są wadliwe — należy to stwierdzić. Jeżeli jednym z najcharakterystyczniejszych symptomatów tej anormalności jest permanentna emigracja — nie należy tego przemilczeć. Jeżeli syjonizm, jako ruch, dający żydostwu brakującą terytorium, a więc usuwający przyczynę choroby, jej mikroby, daje się zrealizować tylko w drodze stopniowo wzmagającej się dobrowolnej emigracji żywiołów odpowiednio nastawionych i przygotowanych, a przede wszystkim zdrowych, t. zn. w rezultacie gromadzenia się i pęcznienia sił narodowych — to należy to uznać i nie łudzić siebie i innych, że można ten proces przyspieszyć przez pauperyzację i degenerację żydostwa, przez przymusową ewakuację niedość życiowych, rozbitych egzystencji, nędzarzy. A poza tym, — nie należy sobie wmawiać, że syjonizm usunie Żydów z Polski. Owszem, w razie pełnej realizacji ideału syjonistycznego liczba Żydów stosunkowo w Polsce, jak i w ogóle w diasporze, się zmniejszy, ale nie mniej dość liczne masy Żydów tu pozostaną. Jeżeli Żydzi obecnie są — poza wyjątkami — nie asymilują, to tym bardziej nie będą się asymilowali wtedy, gdy będą mieli zdrowy i potężny ośrodek własnej normalnej kultury narodowej, którą pa Palestynę będzie promieniowała na całą diasporę. Ale podobnie jak posiadanie własnej ojczyzny i własnej kultury nie pozbawia równych praw Polaków w Ameryce Północnej, czy w Brazylii, tak też istnienie żydowskiej Palestyny i żydowskiej kultury nie będą mogły uprawnić do odjęcia nam praw obywatelskich w Polsce. Przeciwnie, zniknie wówczas charakterystyczny rys naszej „inności” od wszystkich narodów i będziemy mogli nawet przenikać do wszystkich komórek organizmu gospodarczego rdzennego bez obawy zasymilowania się, a nie tylko wypełniać szpary między komórkami. Słowem, będziemy w takiej samej sytuacji, jak orderwane mniejszości ludów terytorialnych wszędzie. I o nasze prawa mniejszościowe będziemy wtedy nadal walczyli.

To są prawdy zasadnicze. I żałować jedynie należy, że po laach 30-tu, po realizacji już pewnego etapu syjonistycznego, znowu je powtarzać wypada...

\*) vide Nr. 12 „Steru”

## MANDAT MIĘDZYNARODOWY

Neil Macaulay: Mandates. Reasons, Results. Remedies. — Wydawnictwo Methuen & Co., Ltd. Londyn.

Permanent Mandates Commission. Minutes of the 30. Session. — League of Nations, Geneva.

Książka Macaulay’a jest w swej zasadniczej części pracą polemiczną, napisaną z dużym temperamentem i poświęconą głównie kwestii zwrotu dawnych kolonii niemieckich. Punktem wyjścia książki jest jednak krytyka samego systemu mandatu. Autor uważa za błąd, że opierając się na ideologii Ligi Narodów z r. 1918, zastosowano pojęcie mandatu w stosunku do terytoriów kolonialnych, przejętych przez entente, ponieważ powstały z tego powodu pewne niejasności odnośnie przyszłości tych obszarów. Istota mandatu — według Macaulay’a — da się praktycznie streścić w następujących punktach: 1) Troška i opieka nad ludnością miejscową. 2) Otwarte drzwi dla handlu z wszystkimi państwami — członkami L. N. 3) Nie militaryzowanie oraz badanie przez Komisję

Mandatową, czy warunki te są przestrzegane.

Autor nie wiele spodziewa się po Permanentnej Komisji Mandatowej. Sądzi, że prócz lorda Lugarda, który zresztą ustąpił w czerwcu 1936 r., członkowie komisji nie zaliczają się do grona osobistości, robiących silne wrażenie. Obrady świadczą o doktrynerskim nastawieniu, czasem wprost o pedanterii. Dowodzi to doprawdy angielskiej cierpliwości, że w ciągu 17 lat Anglia przedkładała Komisji wszystkie, zażądane przez nią, materiały i odpowiadała na jej liczne zapytania.

Palestynie autor poświęca jeden rozdział swej pracy. Uważa on, że w kraju tym poczyniono próbę „pogodzenia idealizmu Ligi Narodów z sentymentem dla narodu żydowskiego”. Niezadowolony, które przebiega z tych słów, wypływa jednak nie tyle z niechęci do Żydów, ile raczej z ubolewania, że terytorium palestyńskie nie zostało po prostu wcielone do Imperium Brytyjskiego. Kilka stron autor poświęca omówieniu sytuacji w Palestynie, przy czym pewne uwagi zasługu-

ją na podkreślenie, pozwalając nam patrzeć na fakty oczyma człowieka, mającego inne, niż my, nastawienie. Tak np. autor sądzi, że zarzuty przeciw Radzie Legislatywnej są słuszne, ponieważ w instytucji tej siła rzeczy przeważa znalazłaby się w ręku Żydów, dzięki ich stanowisku gospodarczemu i intelektualnemu, podobnie jak rzecz się ma w nowych samorządach municypalnych. Rugowanie robotników arabskich z ziemi żydowskiej nie da się pogodzić z deklaracją Kongresu Syjonistycznego z r. 1921, głoszącą, że Palestyna winna być przekształcona na wspólną ojczyznę obu narodów.

Mało znana jest informacja autora, że w r. 1918 Turcy chcieli zawrzeć z Arabami oddzielny pokój, ofiarując im ten sam stopień niezależności, jaki im przetrzeka Anglia, ale Arabowie odrzucili tę propozycję z wiernością dla Anglii. Dzisiaj — tak podkreśla autor — Arabowie palestyńscy są uczciwie przekonani, że Anglia złamała dane im słowo. Tak samo przekonani są Żydzi, że Anglia zawiodła ich przez nie wykonanie Deklaracji Balfoura. Ale winę za to wszystko ponosi system mandatowy! Autor zaznacza wszakże, że nie jest możliwe, aby Anglia cofnęła słowo, dane Arabom i Żydom. Pozostają więc dwa wyjścia:

albo imigracja żydowska będzie płynęła dalej, aż do chwili, gdy obie części ludności będą jednakowo silne, a wtedy ustanowią Radę Legislatywną na zasadzie powszechnego prawa wyborczego; jest jednak bardzo wątpliwe, czy taki plan da się przeprowadzić po zaostreniu się antagonizmów.

Drugim wyjściem jest podział Palestyny na kantony, wzorem Szajcarii. W systemie tym, pod kierownictwem ożywionych dobrą wolą i starannie wybranych urzędników brytyjskich można będzie rozwiązać wiele problemów Mandatu palestyńskiego. Książka Macaulay’a stanowi dokument namiętny i nieukrywający imperializmu. Zasługuje na uwagę, że człowiek tej miary, co sir Edward Grigg poświęcił książkę tej przedmowej, w której jednak nieco odgranicza się od poglądów autora. W każdym razie książka ta, przepojona duchem silnej negacji systemu mandatowego, jest charakterystyczna dla części angielskiej opinii publicznej.

\*

Ostatnio ukazał się protokół 30. sesji Permanentnej Komisji Mandatowej (oficjalne wydawnictwo Ligi Narodów Nr. C. 500 M. 313. 1936. VI), odbyty od 27. października do 11 listopada 1936 r. Protokół za-

wiera głównie badanie mandatów afrykańskich, ale mówi też o Palestynie. Na pierwszym posiedzeniu, na którym przewodniczący Orts powitał nowego reprezentanta Anglii, lorda Haileya’a, omówiono dokładnie kwestię procedury w odniesieniu do badania ruchów palestyńskich. Jak wiadomo, mandatariusz oświadczył, że Anglia nie może przedłożyć materiałów przed ogłoszeniem sprawozdania Komisji Królewskiej. Przewodniczący podkreślił jednak, że Komisja Mandaowa nie może w ciągu całego roku nie zajmować się terytorium mandatowym, które przeżyło 8 miesięcy tak poważnych niepokojów.

Następnie rozwinęła się debata na temat petycji, nadesłanych z Palestyny, dla zbadania których ustanowiono subkomisję. Spośród 30 nadesłanych pism, 9 było żydowskich, a 21 arabskich. Wśród nich znajdują się 3 rezolucje demonstracyjne z Indii, protestujące przeciw Mandatowi, jako takiemu. Wśród petycji żydowskich znajdują się 4 telegramy rewizjonistycznych grup miejscowych w Ameryce i 2 listy niderlandzkiej Organizacji Syjonistycznej.

Starannie ułożony i zaopatrzony dobrym rejestrem rzeczowym protokół odda poważne usługi tym, którzy interesują się zagadnieniami mandatowymi. J. R.

Dr I. SCHIPER

## HENRYK GRAETZ

(W 120-tą rocznicę urodzin)

Wzwyż pół wieku mija, kiedy Henryk Graetz ukończył główne dzieło swego twórczego żywota — historię Żydów. Wiele, bardzo wiele od tego czasu działo się na polu historiografii żydowskiej. Powstał legion uczonych, którzy pogłęбили dziedzinę niezbadane, lub niedostatecznie zbadane przez Graetza, sprostowali błędy mistrza, wydobyli na powierzchnię wiedzy nowe materiały, nieznane wielkiemu historykowi, przeszli go o koncepcjach i metodach badań. A jednak... a jednak trudno naprawdę nie poddać się czarowi, który płynie z tomów Graetza, trudno nie ulec tej wzniosłości, jaką mistrz rozsuwa przed naszymi oczyma. Tej dostojności, tego żaru przeżyć, tej namietności, tego wirtuozostwa słowa nie znajdziecie u żadnego z dawnych historyków żydowskich! Są one tylko u Graetza! Porywają one i zachwycają jak prawdziwe dzieło sztuki, które stoi ponad czasem, wiecznie młode, wiecznie aktualne.

Różnie starano się wytłumaczyć ową niepożyta siłę Graetza, lecz dotąd kwestia nie jest wyczerpana i trudno wyrokować czy ona kiedykolwiek rozstrzygnięta będzie. Tak już bowiem jest los monumentalnych twórców ducha, że każdy o każdym czasie zobaczy w nich coś nowego, co uzasadnia ich monumentalność... Zaprawdę na jakiej płaszczyźnie leży owo „aere perennius” Graetza? Czy z katakomb życia historycznego Żydów wydobył nieznane przed nim fakty i prawdy? Czy zburzył przesady i błędy i świeża struga poznania rozjaśnił zle do jego czasów pojmowane przejawy dziejowego życia żydowskiego? Czy stworzył nowe dziedziny wiedzy żydowskiej? A może był tylko genialnym kompilatorem? Na wszystkie te pytania jednak można udzielić jedynie połowicznej odpowiedzi.

A więc należało by na przykład odpowiedzieć, że Graetz operował przeważnie materiałami drukowanymi, że znał stosunkowo niewiele rękopisów, a już wcale nie sięgnął do źródeł archiwalnych. A więc należałoby w tym samym związku podkreślić, że Graetz, burząc niektóre dawne przesady i błędy, nie mało stworzył nowych błędów, i nie mało też zostawił luk w kwestiach pierwszorzędnych znaczenia.

Na innej zatem płaszczyźnie szukać należy „aere perennius” Graetza.

Próbowano żywotność wielkiego dzieła Graetza uzasadnić stosunkiem autora do współczesnego mu świata żydowskiego. A więc miał Graetz, w odróżnieniu od współczesnych mu historyków i działaczy, jakich wydało żydostwo niemieckie, wierzyć nie tylko w przeszłość ale i w przyszłość życia żydowskiego, miał on być poniekąd heroldem zwiastującym nastanie ery nacjonalizmu żydowskiego i dzięki temu urósł miał w naszą teraźniejszość żydowską. Bądź co bądź moment ten podnosi się z pewnym zastrzeżeniem, gdyż znane są fakty z życia Graetza, że nie solidaryzował się on z manifestacjami narodowo-żydowskimi, jakie urządzono po pogromach w Rosji w r. 1882 — i że oportunizmem był nacechowany jego stosunek do „Miłośników Syjonu”, którzy w Katowicach pod wodzą dr Pińskiego kładli fundament pod późniejszy syjonizm. A więc tylko poniekąd był Graetz nacjonalistą żydowskim, a już całkiem stał on w cieniu swego wielkiego ucznia, Mojżesza Hessa, tego wolającego jeszcze na puszczę proroka wśród współczesnego mu żydostwa niemieckiego, historiozofa narodowego ruchu żydowskiego.

Wobec takich zastrzeżeń trudno dopatrzyć się w owych przebiegach świadomej ideologii narodowo-żydowskiej, tej siły magicznej z jaką działa ona od dzieł lat.

Gdzie więc tkwi tajemnica żywotności Graetza, tajemnica jego bezsprzecznej popularności wśród żydostwa wszystkich krajów i języków?

Sądźmy, że żywotność Graetza i jego niezwykła popularność wśród żydostwa polegają na wizji wewnętrznej, którą ucieleśnił w swym dziele. Wizja ta odpowiada w głównych liniach wzruszeniu i wyobrażeniu, jakie budzą się w sercu i w mózgu ludu żydowskiego, ilekroć zastanawia się nad swym „skąd i dokąd”.

Niejednokrotnie już akcentowali biografowie Graetza, iż stanął on ponad dawniejszymi, współczesnymi mu historykami dzięki temu, że historię żydowską przeżył, podczas gdy tamci dokolał niej tylko eksperymentowali. Podkreślano, że przepalił dzieje żydostwa żarem swego serca i namietności.

W czasie, gdy dla takiego Leopolda Zunza żydostwo było jeno „nawykim”, dla M. Steinschneidera ukończonym gmachem, czymś, co było i wcielić wróci, w czasie, gdy „minores gentium” starali się zoperować żydostwo jak nagniotek na kulturze europejskiej, gdy Heine dusił się w rozterce wewnętrznej, nie wiedząc czy pójść za Apolinem, czy też za Mojżeszem — w takim oto czasie wystąpił Graetz i nie bacząc na strzały żądliwej krytyki, rozsławił wizję Mesjasza zbiorowego, Mesjasza ludu żydowskiego. Mesjasz ten wyzwała się poprzez myśl i cierpienie, poprzez wizję wiecznego żydostwa, niezmiennego i powołanego do stworzenia nowej etyki dla siebie i świata wreszcie wizję Palestyny, tej wiecznej ziemi wiecznego narodu, ziemi dawnych i przyszłych rólaków żydowskich. Śmiało szedł przez życie z tymi wizjami i koncepcjami i broił paniamencie piszczałek, wykonywał prze-

ich prześladowany, oczerniany, posadzany o szarlatanerie...

Gdy argumentowano, że koncepcje jego nie mogą się ustać przed trybunałem logiki, rozumu, postępu i tym podobnym, jał tłumaczyć, że historia żydowska to wspinała się dramat, to *cud*, trwający od tysiącleci. Ten oto „cud” drży na każdej niemal stronie wielkiego dzieła Graetza. Jest to źródło, z którego płyną entuzjazm i namietność autora, tak szybko udzielające się czytelnikowi. To jest to przeżycie głębokie, które pobudza Graetza do zachwytu, ilekroć rozprawiać mu wypada w swej historii o siłach w żydostwie, podtrzymujących „cud” wiecznego życia, „cud” tożsamości. To jest to przeżycie, które dyktuje Graetzowi namietne anatemy na wszystko, co podrywa — zdaniem jego — korzenie wiecznej tożsamości wiecznego życia żydostwa. Także są pobudki jego gwałtownych wycieczek przeciw kabale i karuizmo-

Leopold Gajzler

Współczesny ruch rasowy powstał we Francji. Rasizm polityczny propagował hr. de Gobineau. W swoim dziele „Essai sur inégalité des races humaines” (1853) dowodził, że rasa biała, jest szlachetniejsza od innych ras, i że tylko ona jest dysponowana do odegrania roli kierującej. Teoretykiem zaś rasizmu literackiego, naukowego był Hipolit Taine. W przedmowie do „Historii literatury angielskiej” przedstawia Taine zasadnicze tezy swojej doktryny. Wskazuje on na istnienie stosunku zależności pomiędzy skłonnościami psychicznymi pisarza lub artysty a rasą, do której należy, środowiskiem (milieu), w którym się rozwija, i „duchem czasu” (moment), w którym się pojawił.

Na wywodach Taine’a oparła się szkoła krytyki analitycznej, za swojego mistrza uważali go pisarze-naturaliści.

Teoria Taine’a straciła na swojej powadze po wystąpieniu Emila Hennequina, który w „La Critique scientifique” (1889) dowodził, że „wpływ rasy na rozwój literatury i sztuki jest nader zagadkowy, gdyż ras czystych i jednorodnych nie ma, a przynajmniej żadna z nich nie stała się narodem, któryby utworzył państwo cywilizowane, wydał literaturę i sztukę”.

Antropologia — według Hennequina — wskazuje na proces krzyżowania się i

Ozjasz Neufeld

Jedziemy nad Morze Martwe. Droga prowadzi przez doskonałą szosę, zbudowaną w r. 1927, co znacznie skraca czas podróży. Dawniej jechało się drogą określną, przez Jerycho. Szosa wiję się wśród dolin na tle wapienistych gór, przysypanych szaro-żółtym piaskiem. Roślinności nie ma żadnej, niekiedy tylko na niższych miejscach zobaczyc można trochę trawki, niedźwiedzi lub suche badwle zeszłoroczne. Znajdujemy się na zupełnym pustkowiu, i stale jedziemy na dół, chwilami spadek jest bardzo znaczny. Po 20-tu minutach ukazują się w dali góra Nebi Musa (pro-roka Mojżesza), góra święta dla mahometan. Utrzymują oni bowiem, że na niej pochowany został Mojżesz. Corocznie, w okresie przedwieśnianym liczne tłumy mahometan biorą udział w uroczystościach pielgrzymki, a pochody kroczą przez miasto, przy dźwiękach orkiestr, bębnow i piszczałek. Co pewien czas pochod zatrzymuje się, a młodzień, śpiewając przy akompaniamencie piszczałek, wykonywał różne tańce, kręcąc się i podskakując do góry. Zawołowane zaś kobiety i dzieci, które nie biorą udziału w pochodzie, śpiewają i tańczą na dachach. Istotą uroczystości jest modlitwa przy grobie Mojżesza i innych „świętych” muzałmańskich: składa się ofiary z baranów, liczne są też ceremonie obrzezania i t. p. Uczestnicy wingo, rozmaitego rodzaju usypiska i wzgórz piaszkowe, którym deszcze i wiatry na dady dziwaczne i nader urozmaicone konfiguracje, a wreszcie oczom naszym ukazują utrzymywane jedzenie dwukrotnie w ciągu dnia (ryż i kawał baraniny). Do tego celu przeznaczone są specjalne fundusze (wakf), które nota bene w ostatnich dwu latach są wyczerpane na skutek prowadzonej akcji terrorystycznej w Palestynie. Efendowie mieszkają w wielkim „khanie”, zaś beduini śpią na ziemi pod gołym niebem, przykryci szerokimi płaszczami (abach).

Zjeżdżając co raz gwałtowniej w dół, mijamy tablicę, która wskazuje, że jesteśmy na wysokości poziomu morza Śródziemnego. Łatwo odczuć różnicę w temperaturze, tym bardziej, że słońce dobrze przygrzewa i otoczeni jesteśmy górami. — Przed nami staje ściana jasno żółtawych gór Judzkich, całkowicie pozbawionych roślinności i szeroka równina, którą zamykają sine góry po drugiej stronie Jordanu, a urozmaicają samotnie stojące kepy niskich krzaków.

Niekiedy ukazują się w dali zielono-niebieska tafla morza, nad którą unoszą się opary, oraz biała powierzchnia pias-

ku, chasydyzmowi, językowi żydowskiemu i t. p. Zachwyceni „cudem” dzieł żydowskich, posunęli się Graetz nawet tak daleko, że młotać będzie gromy na współczesną cywilizację, gdyż kryje w sobie niebezpieczeństwo dla ducha żydostwa.

Biografowie Graetza nieraz już wskazywali na ten cudowny kąt widzenia, pod którym ujął on dzieje żydowskie. Przeczocono jednak, że nie wystarczyłoby, takie ujmowanie historii naszej, aby mogła ona znaleźć dostęp do najszerszych mas żydowskich, gdyby nie fakt, że podobna koncepcja, podobna wizja snuje się także w duszy tego bezimiennego zbiorowego historiozofa i historiografa, jakim jest lud żydowski. Wystarczy tylko sięgnąć do ksiąg religijnych, rozpowszechnionych wśród naszych ojców i matek, do żydowskiej pieśni ludowej, do tych licznych e-legii, zachowanych od wieków, a znajdzie się tam wiele przykładów, podobnie jak

## RASIZM NAUKOWY I POLITYCZNY

mieszania ras w czasach najdawniejszych. Nie ma narodu, utworzonego przez jedną rasę. Wszystkie, od Egipcjan do Asyryjczyków, od Żydów do Fenicjan, od Greków do Rzymian, od aryjskich Indów do Irańczyków, od przedhistorycznych plemion północno-europejskich aż do samych nawet Chińczyków — wszystkie utworzone zostały przez zwycięskich wychodźców, którzy sami ulegli wpływowi podbitych tubylców i zasymilowanych elementów etnicznych. Autor konkluduje więc, że „narod jest zlewiskiem różnych ras, z których żadna nie może być rozpatrywana jako czysta. Rasę — według niego — cechuje wspólne miejsce zamieszkania i wspólny język potoczny, toteż, gdy pewien naród wydaje literaturę, jest to literatura języka, a nie rasy”.

Wywody Hennequina znalazły dużą aprobatę w literaturze i co raz mniej liczone się z koncepcjami Taine’a.

Teoria rasizmu politycznego Gobineau’a nie zyskała we Francji zwolenników, przyjęła się natomiast w Niemczech, popularyzowana przez Ludwika Schemmanna, który założył w roku 1894 towarzystwo p. n. „Gobineau - Vereinigung”. Jednym z członków tego towarzystwa był podobno Ryszard Wagner.

Od roku 1923 zainteresowanie się rasizmem w Niemczech wzrasta, a gdy w

u Graetza, wiary w triumf żydostwa, podziw i szacunek dla „mądrych w nauce” i męczenników, bieżni miłości do Palestyny, a nawet wiele — nieufności do cywilizacji i wszelkiego nowatorstwa. Tak jak u Graetza. Słowem: ten sam (oczywiście w głównych zarysach) stosunek do przeszłości i przyszłości żydowskiej. Nie dziw zatem, że Graetz tak głęboko zdołał przemówić do serca i wyobraźni ludu żydowskiego, że tak rychło stał się popularny we wszystkich środowiskach żydowskich.

Reasumujemy: żywotność Graetza polega na ludowym charakterze jego wielkiego dzieła. Pozostanie wieczną zasługą Graetza, że pierwszy dowiódł swym dziełem, że historia diaspory żydowskiej nie jest tylko historią religii, że jej przedmiotem nie jest tylko rozwój nauki, ale „lud, który pozabawiony ziemi ojczystej, geograficznej koncentracji i nie mający organizacji państwowej, zastąpił owe ziemskie

warunki bytu walorami duchowymi, by trwać i przetrwać”.

Tak formułując ostateczną naukę życia, dającą się wysnuć z dzieł żydowskich, stworzył Graetz szeroką podstawę ideologiczną dla aktywizmu żydowskiego. Zbliżył się on przez to do narodowego obozu żydowskiego, zbliżył się, ale jeszcze weń nie wrasta. Albowiem daleko szerzej ujmując żydowski obóz narodowy obowiązek wobec życia i przyszłości.

Graetz ugruntował poznanie, pogłębił wiarę: byliśmy i będziemy! Ale na tym też poprzestał. Nie szukał on w dziełach naszych wskazówek dla procesu tworzenia i przetwarzania siebie, dla tego wielkiego zagadnienia. Jesteśmy i *tworzyć siebie chcemy*, tworzyć nie w oderwaniu, ale w związku z ogólną ludzką kulturą, zrealizować wszystkie nasze możliwości! To zadanie czeka naszych *narodowych* historyków.

roku 1933 obejmuje władzę Hitler, ruch rasistowski staje się ośrodkiem, dokoła którego koncentruje się całe życie społeczne i polityczne Niemiec.

Na podstawie teoretycznej klasyfikacji ras na nordycką, śródziemnomorską, dynarską, alpejską, wschodnio-bałtycką, falićką i inn. wyznaczyli Niemcy z góry dla każdej rasy rolę i miejsce w świecie. Zaś dla nordyckiej (długonogowej), która — według tej teorii — jest charakterystyczna dla rdzennego narodu niemieckiego, wyznaczyli miejsce przodujące ze względu na swoją „ciężką umysłową i fizyczną”.

Tę koncepcję, lekceważoną i wyśmiewaną w nauce, przejął się głęboko Hitler i w patetycznych przemówieniach zaczął głosić misję „Herrenvolku”.

Hitlerowcy uważają się więc za najprawdziwszych, niesfalsyfikowanych nordyków. Wszyscy nierydycy powinni — według nich — być ich niewolnikami. („Die Sklaverei” Haiser. 1923).

Zmonopolizowali hitlerowcy rasę nordycką. Żaden naród nie ma prawa — według nich — znaleźć wśród siebie nordyków. Toteż gdy J. Czekanowski dowodził w swoim „Zarysie antropologii Polski” (1930), że u Słowian przeważa element nordycki, a u Niemców element iberyjsko-insularny, przyjęto jego koncepcję w obozie nordycznym z niemalym oburze-

nem. Starano się za wszelką cenę zaliczyć Polaków na subnordyków, byleby Polakom nie przynależało w całości krwi nordycznej. Przekonani o swojej „wyższości” rasowej, zaczęli hitlerowcy brutalizować wszystkich obywateli innych narodowości, zamieszkających na ziemiach Rzeszy, nie tylko Żydów, ale i mieszańców południowych Niemiec pochodzenia romańskiego i wschodnich — pochodzenia słowiańskiego.

Najagresywniej wystąpili przeciwko Żydom. Walka jednak z Żydami narobiła dużej kłopotu. Trzeba było rozpocząć od sprawy bardzo drastycznej, a mianowicie od dyskusji nad pochodzeniem Jezusa Chrystusa. Rasiści pragnęli udowodnić za wszelką cenę, że Chrystus jest pochodzenia aryjskiego. „Wie sah Christus aus?” Günther H. 1932). Gdy niedorzeczności te potraktowała nauka z największym lekceważeniem, postanowili odgrzebać bogów starogermańskich i wskrzesić wiarę pogańską.

Słusznie zaznacza K. Stojanowski, („Rasizm przeciw słowiańszczyźnie”), że najwięcej kłopotu narobiła Niemcom sprawa pół-Żydów. Według danych departamentu rasowego przy ministerstwie spraw wewnętrznych jest w Niemczech teraz zarejestrowanych przeszło 3 miliony mieszańców niemiecko-żydowskich i

(Dokończenie na str. 8-iej)

## Nad Morzem Martwym

Reportaż

sku, jakby posypana mąką. — To wiatr przypędził ułotnione z morza sole i rozsiał je po ziemi.

Mijamy kawał dawnego dna morskiego się Morze Martwe. — Z bliska nabiera ono koloru miedziano-zielonkawego i niebieskiego. Brzeg piaszczysty i żwirowaty jest od strony północnej zupełnie płaski i byłby doskonałą plażą morską. Unoszące się siwe opary całkowicie zakrywają dalsze przestrzenie ku południowi, a tworzące się ciężkie chmury są częstym zjawiskiem w porze gorącej, bowiem woda z morza paruje jakby w kotle. — Wzgórza Judzkie i Moabskie pod działaniem żaru promieni słonecznych zmieniają się różnymi barwami, stanowią piękne tło i obramowanie morza, a błękit nieba, na którym nie ma ani jednej chmurki, odbija się w wodzie i nadaje piękną barwę niebieską.

Nad brzegiem morza panuje zwykły ruch. Bez przerwy przyjeżdżają turkwi i pielgrzymi, a wielu korzysta z kąpiel, chcąc doświadczyć na własnej skórze właściwości wody morskiej. Miłym szczegółem sportem jest pływanie w morzu: ciężkość gatunkowa wody wynosi 1.160 — 1.230, a więc większa od ciężkości gatunkowej ciała ludzkiego (1.010), dzięki czemu człowiek bez żadnego wysiłku może się utrzymać na wodzie. Toteż trudno często o kąpiel i kostium kąpielowy.

Właściwością wody Morza Martwego jest tu jest wielka zawartość minerałów, a przede wszystkim soli, aniżeli w innych morzach; powstały one drogą koncentracji. Rzeki, przepływające do morza, stale przynoszą pewną ilość soli; woda w jeziorze ulatnia się, sole zaś pozostają i osiadają, a ponieważ proces ten trwa przez tysiące lat, ogromne ilości te krystalizują się i tworzą wielkie pokłady.

Ilość wody, wpływającej codziennie z Jordanu do Morza Martwego, wynosi przeciętnie 5 milionów ton metrycznych, podczas gdy z mniejszych rzek i strumyków (Ain Gidi, Zerka Main, Seil Modzib, El Kerak, Seil en Nemeira, Seil Querai) przypływa 1 milion, co razem daje przeciętnie 6 milionów ton. Ponieważ zaś Morze Martwe znajduje się na znacznie niższym poziomie, niż Morze Śródziemne i Czerwone (394 m.), pomimo tak znacznej ilości wody dopływającej, jasne jest, że 6 milionów ton wody, która wpływa dzień w dzień, ulega wyparowywaniu. Jedynie w okresie deszczowym, przypływa znacznie

więcej, kiedy poziom morza podnosi się o 5—0.2 m. Stwierdzono, że poziom morza jest wyższy w porównaniu z poziomem w czasach dawniejszych: tak n. p. wyspa Rudzim el Bahr, która znajdowała się przy brzegu północnym, przed 40 laty została zalana i znikła zupełnie pod wodą. — Twierdzą też niektórzy, że na południu granice morza rozszerzyły się w ciągu XIX w. o 50 km, właśnie wskutek podniesienia się poziomu morza. — To podniesienie nastąpiło wskutek mniejszego parowania, a także z powodu podnoszenia się dna morskiego przez co raz większe gromadzenie się soli.

Na brzegu północnym w Dżedeideli mieszczą się ogromne pola ewaporacyjne Towarzystwa „Palestine Potash Company”, które zostało założone w r. 1930 w celu eksploatacji bogactw mineralnych Morza Martwego. — Towarzystwo to założyło całą sieć rurowciągów, które wydobywają wodę z głębokości 200 ft. o dużej zawartości soli mineralnej, gdyż na powierzchni morza woda nasycona minerałami zostaje rozpuszczona przez słodkie wody Jordanu. Brzegi Morza Martwego tworzą idealny grunt dla zbiorników, podlegających parowaniu, a skonstruowane są niezmierzenie prosto za pomocą tam, ze zwykłego drzewa. — Zbiorniki te ciągną się na przestrzeni tysiąca akrów, a głębokość ich wynosi 26 cali.

Woda, dobrowadzona kanałem z Morza Martwego, dochodzi do zbiorników, w których odbywa się parowanie. Działanie to przyspieszone zostaje przez ciągłe wiatry, wiejące w dzień z południa, a nocą z północy, nie mówiąc już o wpływie promieni słonecznych. Proces ten w miarę wyparowywania doprowadza do tego, że z roztworów soli, zawierających chlorek sodu, magnez, potas oraz bromek magnezu, wytwarza się jedynie chlorek sodu t. j. zwykła sól. Zawiera ona 80% magnezu i 20% chlorku potasu, a zwana jest *karnalitem*. Karnalit przepływa się ciepłą wodą, co wpływa na oddzielenie chlorku potasu od chlorku magnezu, a następnie po potwornym przepłókanu jest suszony i wkładany do worków w celach eksportowych.

W ten oto tak tani sposób otrzymuje się chlorek potasu 98%-owy a nawet i wyższej czystości, produkowany przez Palestynę Potash Company, a żadne inne zakłady fabryczne w świecie nie są w możności produkować podobnie łatwo i tanio.

Nie inaczej dzieje się z bromem, które-

go odsetek w wodzie jest kilkakrotnie większy, niż w jakimkolwiek innym kraju. Podobnie sól zwykła, magnezjan i chloran potasu, które są produkowane jako artykuły poboczne, mają olbrzymie zastosowanie w praktyce. Sól zwykła powstała ze zwykłego przepłókiwania potasu, gatunku 99% czystości, uchodzi na najlepszą sól stołową na świecie. — Poza tym zawiera ona pół procent potasu, dzięki czemu posiada właściwości lecznicze, a powstała jako produkt poboczny może być sprzedawana po bardzo niskiej cenie.

Najciekawsze jest użycie chlorku potasu do budowy szos. 40% kosztów budowy drogi pochłania transport kamienia twardego, ale liczne próby wykazały, że istniejące grunty z łatwością mogą być zmienione w gładkie drogi przez użycie chlorku potasu, obniżając jeszcze znacznie koszty ich budowy. Główne zastosowanie ma on jednak przy produkcji nawozów sztucznych, przy wyrobie środków wybuchowych, zapalek, mydła, wyrobie szkła itp. Stwierdzić należy, że gdyby ograniczono się jedynie do czerpania potasu z morza martwego, starczyłoby one na pokrycie zapotrzebowania światowego na przeszło 2000 lat.

Według ścisłych obliczeń, a także z zapewnienia, jakie udzielił mi zastępca generalnego inżyniera (Ing. Rodison), w Morzu Martwym ma się znajdować: chlorku potasowego 2 miliony ton, bromku magnezowego 1 milion, chlorku sodowego 12 milionów, chlorku magnezowego 22 milionów ton, chlorku wapniowego 6 milionów ton. Wartość tych bogactw naturalnych ocenia się na 240 miliardów funtów ang. Zakątek ten o 47 milach długości i 9 milach szerokości jest chyba najbardziej cennym na świecie.

Minęły już czasy, kiedy zastanawiano się, czy robotnicy — fachowcy, sprowadzeni nad Morze Martwe, nie zapadną na zdrowiu. — Dziś zatrudnionych jest kilka tysięcy robotników, którym ani klimat ani warunki pracy wcale nie przeszkadzają, a ci, co na początku zapadali na tropikalne choroby, nabyli dziś dużo odporności i siły. Także kwestia komunikacji została ściśnięto rozwiązana. Potas, pakowany do worków w fabrykach nad morzem Martwym w południe, jest już wieczorem tego samego dnia ładowany na okręt w Haifie. Jeszcze realizowanie projektu wybudowania kolei od doliny Jordanu do Haify i dalej od Wadi Araba do zatoki Akaba stawia Palestynę na zaszczytnym miejscu, tak pod względem strategicznym, jak i handlowym.

TOMASZ MANN

## JÓZEF WRZUCONY DO STUDNI

Poniżej zamieszczamy fragment z mającej się wkrótce ukazać w języku polskim drugiej części „Opowieści Jakubowych” TOMASZA MANNA pt.: Józef i jego bracia.

Powieść ukaze się nakładem księgarni M. Fruchtmanna.

Przekładu dokonał MARCELI TARNOUSKI.

Stało się jednak, że Aszer, syn Sylpy, ciekawy nawet w zgryzocie, zerknął trochę nad kolanem i potoczył okiem po okolicy. I oto ujrzał daleko w świetle jakieś drgnienie, niby srebrny błysk, który znikł, ale zaraz zamigotał znowu, a kiedy się przyjrzał dokładniej, zobaczył dwa i więcej błysków, które raz pojedynczo, raz znowu wspólnie się zapalały, w rozmaitych punktach, ale blisko siebie.

Aszer trącił w bok Gada, swego rodzonego brata, który siedział obok niego, i palcem wskazał mu błędny ogień, aby mu pomógł zrozumieć to. A kiedy mu się przyglądali, przykładając dłonie do oczu i naradzając się mimami, inni zauważyli ich niepokój; odwrócili się ci, co siedzieli plecami w tę stronę; nawzajem spojrzeli sobie na oczy, a każdy kolejno szedł za kierunkiem wzroku drugiego, aż wszyscy podnieśli głowy i wspólnie poczęli się przyglądać postaci, która zbliżała się ku nim i na której było owo migotanie.

— Jakiś mąż nadchodzi i błyszczy, — rzekł Juda.

Po chwili zaś, podczas której czekali zapatrzeni, a postać rośla, Dan odpowiedział:

— Jakiś młodzieniec raczej.

I w tej samej chwili brunatne twarze wszystkich stały się naraz tak samo blade, jak twarz Rubena przedtem, a serca ich zabiły dziko przyspieszonym rytmem jak bębny, tak że w zapartym tchu ciszy rozległ się głuhy koncert i dudnienie.

Józef zbliżał się przez równinę, w pstrej szacie, z wieniec na kapuzie zasłony, idąc prosto ku nim.

Nie wierzyli temu. Siedzieli, wcisnąwszy kciuki w policzki, z palcami przy ustach, łokciami wsparci na kolanach, i ponad pięściami wpatrywali się wybałuszonymi oczyma w zbliżającego się majak. Mieli nadzieję, że śnią, i bali się tego. Niektórzy, w przerażeniu i nadziei, nawet wtedy jeszcze wzbraniłi się zrozumieć rzeczywistość, kiedy przybyły uśmiechał się już do nich z bliska, tak że nie mogło być wątpliwości.

— Tak, tak, witajcie! — powiedział łagodnym głosem, stając przed nimi. — Uwiercie swoim oczom, drodzy mężowie! Przybyłem z woli ojca na Huldzie, oślicy, aby zobaczyć, czy wszystkie tu u was w porządku, i aby...

Umilkł zakłopotany. Siedzieli bez słowa i ruchu, wpatrując się w niego, niby zaczarowana grupa. Ale kiedy tak siedzieli, twarze ich — chociaż nie był to wschód ani zachód słońca, który mógłby się na nich malować — stały się tak czerwone, jak pnie za ich plecami, czerwone jak pustynia, ciemnoczerwone jak gwiazda na niebie, a z oczu ich zdawało się, że trysnie krew.

Józef cofnął się. Nagle rozległ się grzmiący ryk, bycze wycie bliźniąt, które wstrząsało trzewiami, i z przeciągłym okrzykiem, jakby z jednego uderzonego gardła, z rozpaczliwie triumfalnym ahhh wściekłości, nienawiści i ulgi, zerwali się wszyscy dziesięciu z dziką jednoczesnością i rzucili się na niego.

Spadli nań, jak sfora zgłodniałych wilków spada na łup; oślepla krwią żądza ich nie znała hamulca ani zastanowienia,

zdawało się, jakoby chcieli go rozszarpać conajmniej na czternaście kawałków, Istotnie w głębi duszy wszyscy pragnęli przede wszystkim szarpać, rozrywać, zdzierać.

— Precz z tem, precz, precz! — wołali dysząc, a jednogłośnie mieli na myśli ketonet, pokrytą obrazami zasłone, którą chcieli zderzyć z niego, chociaż trudno to było uczynić w takim zamieszaniu; była na nim bowiem owinięta w zawiliły sposób, umocowana na głowie i ramionach, ich zaś było za wielu do jednego czynu, zawadzili sobie nawzajem, jeden drugiego odpychał od szarpanego między nimi Józefa i wzajemnie trafiali w siebie uderzeniami, które przeznaczone były dla niego i z których zresztą spora część i jemu przypadła. Natychmiast pociekła mu krew z nosa, a nad jednym okiem wyskoczył siny guz.

Zamieszanie to wykorzystał jednak Ruben, który przewyższając wszystkich stał między nimi i także krzyczał „Precz, precz!” Wył razem z wilkami. Postępował w taki sposób, w jaki postępowali zawsze wszyscy, co zamierzali w miarę możliwości pokierować rozpetanym tłumem i — aby osiągnąć wpływ na wydarzenia — z pozornym zapalem czynili zło, aby zapobiec jeszcze większemu złu. Udawał, jakoby go popychano, w istocie jednak popychał sam, odrzucając w miarę możliwości od Józefa tych, co zamierzali go właśnie uderzyć i zerwać z niego szatę. W ten sposób osłaniał go jakotako. Zwłaszcza na Lewiego uważał pilnie, ze względu na jego łaskę pastorską, i stale potykał się padając na niego.

Ale mimo jego manewrów przerażonego chłopca spotkał tak straszny los, o jakim rozpieszczonemu Józefowi nigdyby się nie śniło. Zataczał się nieprzypadkiem, wcisnąwszy głowę w ramiona, osłaniając się łokciami przed gradem uderzeń tej dzikiej brutalności, który spadał na niego z jasnego nieba, nie troszcząc się, gdzie trafiał i który rozbił w pył jego wiarę, jego obraz świata, jego niezłomne jak prawo natury przekonanie, że każdy musi go kochać więcej, niż siebie samego.

— Bracia! — belkotał z rozciętą wargą, z której krew spływała mu po podbródku, łącząc się z krwią z nosa. — Co robicie...

Uderzenie w głowę, którego Ruben nie zdołał powstrzymać, przerwało mu wśród słowa; niezmiernie bezwzględny cios pięci w okolicę żołądka zmusił go do skulenia się i zniknięcia pod sforą.

Niepodobna zaprzeczyć, a nawet trzeba podkreślić, że zachowanie synów jakubowych, chociażby nawet słuszność była po ich stronie, było jaknajniebezpieczniejsze, ba, mogło być poprostu nazwane nikczemnem. Poniżyli się niżej godności ludzkiej i przypomnieli sobie o swoich zębach, aby pokrawionemu i nawpół nieprzypadkiem chłopcu zerwać z ciała szatę matczyną, ręce ich bowiem niestety miały coś innego do roboty. Nie zachowywali się przy tym milcząco, a nie tylko „Precz, precz!” było ich zawołaniem. Podobnie, jak pracujący mężowie, którzy, kiedy ciągną i mozolą się, oszołamiają się przy wspólnej pracy monotonnymi okrzykami, tak i oni: Z głębin swego rozgoryczenia wydobywali urywane słowa, które wyli ochryple, aby się utrzymać we wściekłości i zgasić świadomości.

— Kłonić się, kłonić się!

— Zobacz, czy wszystko w porządku!

— Ty cierniu w ciebie!

— Pełzające zło!

— Masz za twoje sny!

— A nieszczęsny chłopiec?

Dla niego to, co się działo z ketonet, było najstraszliwsze

i najbardziej niepojęte ze wszystkiego; było to dla niego boleśniejsze i przeraźliwsze, niż wszystkie ciosy i guzy. Z rozpaczą usiłował ochronić szatę, zachować z niej przynajmniej strzępy i szczątki, wołał też ciągle: — Moja suknia! — i błagał jeszcze w lęku dziewicości: — Nie rozerwijcie jej! — wtedy, kiedy już był nagi. Zdarcie zasłony nastąpiło bowiem zbyt gwałtownie, aby się mogło ograniczyć do samej tylko zasłony. Spodnia suknia i fartuch poszły wraz z nią, strzępy ich leżały pomieszane ze strzępami wienca we mchu, a na nagie ciało chłopca, z trudnością zasłaniającego twarz rękoma, padały uderzenia gromady... — Kłonić się, kłonić się! — Masz — za twoje sny! — padały bezlitośnie, hamowane jedynie trochę przez wielkiego Rubena, który ciągle udawał, że go popychają, kiedy w istocie sam odpychał innych od Józefa, zachowując się tak, jakby mu przeszkadzało, gdy chciał ze swej strony dowolnie wyluc ofiarę.

— Cierniu w ciebie! Pełzające zło! — wołał i on.

Ale potem krzyknął coś innego, co podsunęła mu chwila, krzyknął tak głośno, kilka razy, aby wszyscy usłyszeli i aby się ich nieprzytomność do tego zastosowała:

— Związać! Związać go! Ręce i nogi!

Było to nowe hasło, które wymyślił w pośpiechu. Miało ono dać jakiś chwilowy cel nieprzewidywanej akcji i spowodować krótką pauzę, aby pragnienie Rubena odwrócenia rzeczy najgorszej, zyskało nieco czasu.

W istocie, póki będą zajęci wiązaniem Józefa, nie będą go bili; a kiedy będzie związany, uczynione zostanie coś chwilowo zadowalającego i osiągnięty będzie pewien odcinek działania, po którym trzeba się będzie cofnąć i obmyślić dalsze kroki.

Takie było szybkie obliczenie Rubena. Propagował więc swoje hasło z rozpaczliwym zapalem, jakgdyby oznaczało oną jedną celową i rozumną czynność, jaką można było teraz przedsięwziąć, i jakby głupcem był każdy, kto tego hasła nie posłucha.

— Masz — za twoje sny! — wołał. — Związać, związać go! Głupcy! Mścicie się jak walkonie! Zamiast go szturchnąć, związać go lepiej!

— Czyż nie ma nigdzie sznura? — krzyknął jeszcze raz ze wszystkich sił.

Owszem. Gaddiel naprzykład owiązany był sznurem, zdjął go teraz z ciała. Ponieważ mieli puste głowy, hasło Rubena mogło w nich zająć miejsce. Związali nagiego chłopca, tym samym sznurem spętali mu nogi i ręce, osnurowali go, jak trzeba, aż jęczał, a Ruben gorliwie przykładął rękę do dzieła. Kiedy się już stało, cofnął się i z westchnieniem ulgi otarł pot z czoła, jakby przez cały czas przodował wszystkim w tem, co czynili.

Inni bracia stali dokoła niego, chwilowo zaprzestawszy walki, dysząc ciężko, w dzikiem wytchnieniu. Przed nimi leżał syn Racheli, okrutnie sponiewierany. Leżał na spętanych ramionach, z głową w trawie, z podciągniętymi kolanami, ze wznoszącymi się w szybkim oddechu żebrami, posiniaczony, pokrwawiony, a po ciebie jego, w które wpatrywała się wściekłość braterska, po jego ciebie, oblepionym mchem i kurzem, wiły się cienkie strumyczki czerwonego płynu, który wycieka z piękności, kiedy się zadrażnia jej powierzchnię. Jedyne jego nie podbite oko z przerażeniem szukało morderców, a niekiedy zamykało się kurczowo, jak w odruchowej samoobronie przed nowymi gwałtami.

(C. d. n.)

Dr. Mojżesz Weissman

## Księga soboty

(Sefer - Harzabat\*)

Królowa i oblubienica narodu żydowskiego, siódmy dzień tygodnia — sabat, znany był w świecie starożytnym tylko u Żydów, jakkolwiek sam podział tygodnia na 7 dni zapożyczono zdaje się od Babilończyków i ich astronomów. Chronologicznie biorąc instytucja soboty wyprzedza powstanie narodu żydowskiego, z którym genetycznie nie jest związana, gdyż jest w pierwotnym pojęciu Biblii częścią składową kosmogonii i stanowi niejako najważniejsze ukoronowanie obrotu stworzenia. Z tej perspektywy też należy oceniać jej zasięg i znaczenie, ilekroć chcemy analizować jej pojęcie w ogóle i jej stanowisko w świecie żydowskim w szczególności.

Jest zasługą Bialika, że w Palestynie powstała myśl syntetycznego ujęcia całokształtu pojęcia soboty. Jest to *Sefer-Harzabat* (wydane przez Ohel-Szem w Tel-Aviv, 1936-37), dzieło to jest pracą zbiorową, poświęconą rozwojowi instytucji sobotniej od początków naszego piśmiennictwa aż do chwili obecnej. Dzieło to daje przegląd naszej literatury starci i nowszej, biblijnej i talmudycznej, pism gnostyków i decytorów, ksiąg mistyki i chasydyzmu, filozofii i poezji średniowiecznej, literatury nowożytnej i współczesnej, ba nawet omawia wpływ soboty na twórczość artystyczną bądź to w dziedzinie muzyki, bądź to w dziedzinie sztuki religijnej, synagogalnej i domowej. Krótko mówiąc, dzieło cytuję in extenso możliwie wszystko, co kiedykolwiek o sobocie było pisane lub co z nią ma jakikolwiek związek.

Warto więc obserwować rozwój soboty na tle naszych obyczajów w poszczególnych okresach. W epoce biblijnej sobota uchodziła za dzień odpoczynku powszechnego dla wszystkich mieszkańców kraju

łącznie z obcymi i cudzoziemcami, którzy chwilowo lub stale bawili w Palestynie. Przerwa w pracy obowiązywała również w stosunku do sług, niewolników i bydła roboczego, a za naruszenie świętości tego dnia przewidziane były najcięższe kary. Różne podaje Biblia powody, dla których należało święcić sobotę. Są nimi: stworzenie świata w sześciu dniach i poświęcenie siódmego dnia, potrzeba wypoczynku po sześciu dniach pracy, ponadto też święcono sobotę z okazji wyswobodzenia Izraela z Egiptu, z domu niewoli. Wszelka praca była wtedy zakazana, a więc praca na polu, w winnicy, handel i odbywanie jarmarków i targów. Niejednokrotnie też prorocy karścili naród za to, że bezceścił sobotę, najwyższą świętość, przywołując do Jeruzolimy ziemiopłodny na sprzedaż lub pracując w domu, w winnicach i chłodniach. Powszechnym stało się to zjawisko po zburzeniu pierwszej świątyni, kiedy lud pozbawiony autorytatywnej opieki religijnej zrównał sobotę z dniem powszednim wykonując wtedy każdą pracę w polu i domu.

Niewiadomo dokładnie, jak się zachowywano w sobotę podczas wojny w najdawniejszych czasach. Najprawdopodobniej w sobotę nie walczone, czyli istniał rodzaj „treuga dei” znanej w średniowieczu, tylko że nie zawsze — obustronnej. Za czasów Antiocha Epifarnesa wróg wyzykiwał bezczynność Żydów w sobotę, wywołując w pięć tysięcy bezbronnych ludzi, którzy ukryli się w pieczarach. Dopiero Matatiasz, założyciel dynastii makabeuszowskiej, postanowił odstąpić od dotychczasowej zasady i walczyć w sobotę. Fakt ten stał się odtąd wskaźnikiem także i dla przyszłych pokoleń. W czasie wojny z Rzymianami za czasów Pompejusza i Tytusa naprawdę nie wszczynano walki zaczepnej w sobotę, ale broniono się w razie konieczności, gdy wróg mimo pertraktacji, nie chciał się zgodzić na

przerwę w operacjach wojennych z powodu soboty.

Wielką siłę obronną widzieli w sobocie pierwsi filozofowie szczególnie Filon Aleksandryjski. Jego zdaniem dzień sobotni winien człowiek przeznaczyć na rozmyślanie filozoficzne, w szczególności winien czynić obrachunek sumienia. To samo utrzymywali i późniejsi filozofowie, z których np. Jehuda Halewi sądził, że święcenie soboty więcej zbliża człowieka do Boga, niż umartwianie ciała i asceza, albo Majmonides, który zgodnie z tradycją zowiązał sobotę z problemem stworzenia i wyzyskał ją jako jeden z dowodów monoizmu religii żydowskiej. Nic innego nie upatrywał w sobocie midrasz, który święcenie soboty uważał za równoważne i równoznaczne ze spełnieniem wszystkich przepisów Zakonu. Pewna anegdota medraszowa związała sobotę z losem narodu. W anegdocie tej czytamy, że sprofanowanie pierwszej soboty za czasów Mojżesza, kiedy to niektóre niezdyscyplinowane jednostki udały się w sobotę na zbieranie drzewa — za powód zburzenia Świątyni i upadku państwa. W a negdocie wspomniano również, że dwie soboty z rzędu święcone przez cały bez wyjątku naród, przyczyniły się niechybnie do natychmiastowego wybawienia Izraela z golusu. Nietrudno się domyśleć, jak głęboki sens pedagogiczny w wychowaniu narodowym kryje ten napozór naiwny midrasz.

W kwestii przestrzegania soboty objawiały się pierwotnie w żydostwie skrajne tendencje w tłumaczeniu przepisów Pisma św. polegające na dosłownym wklęgnięciu nakazów Zakonu. Np. pierwotni chasydzi (nie w sensie dzisiejszym), a szczególnie esejczycy przygotowywali wszystko na sobotę tak, że w ten dzień nie wychodzili poza próg swych domów i nie załatwiali nawet najprymitywniejszych potrzeb fizjologicznych. Podobna, choć łagodniejsza forma zastosowali u siebie późniejsi Karaici, którzy zwykli gasić światła przed zachodem słońca i prześadywać wieczór sobotni w ciemności. Dlatego halacha talmudyczna wdziała się zmuszona szczegółowo uregulować ważne to zagadnienie. Wklęcza ona 39 głównych robót zakazanych w sobotę; a do-

tyczących pracy z zakresu uprawy roli, przygotowywania posiłku, rękodzielnictwa w szerszym tego słowa znaczeniu itd. Rzecz jasna, że nie należy ograniczyć się do tej liczby, co zresztą wyczuł już u czeni talmudycy, dając temu wyraz przez podział prac na główne i pochodne, tylko że talmud uchwycił tu najistotniejsze rodzaje zajęć ludzkich związanych z ówczesną kulturą życiową i stopniem cywilizacji materialnej.

W jednym, jednym wypadku przepisy te traciły swą ważność, mianowicie, gdy przestrzeganie ich naraziło człowieka na niebezpieczeństwo życia. Wtedy wolno było przekroczyć te przepisy.

Jakkolwiek sobota pozostała głównie dniem uroczystym dla Żydów, mimo to jako niecodzienne zjawisko zajmowała niejednokrotnie świat nieżydowski.

Przestarzałe są już dziś hipotezy starszych assyriologów, którzy szukali porównań między sobotą a szabat (szappato) Babilończyków, bo brak w ogóle wspólnych cech zezwalających na tego rodzaju zestawienie. Natomiast charakterystyczne są głosy starożytnych pisarzy nieżydowskich na temat soboty, jak Seneki, Juwenala, Horacego, Tacyta i innych, którzy ubolewali nad zanikiem starożytnych cnót i obyczajów, odkąd starzy patrycjusze zaczęli święcić sobotę, wstrzymując się od pożywania słoniny a nawet synów swoich poddawali rytuałowi obżerania. Często nie szczędzili cierpkich słów pod adresem judaizujących się rodaków, co wskazuje na to, że obchodzenie soboty było wtedy modnym zwyczajem wśród sfer arystokratycznych Rzymu, dokąd ten zwyczaj przedostał się ze wschodu wraz z judaizmem, względnie z pierwotnym chrześcijaństwem. Trzeba bowiem wiedzieć, że do początków IV w. (321 r.) chrześcijanie święcili sobotę, a nie niedzielę, którą wprowadzono dopiero potem dla podkreślenia różnicy między judaizmem a chrześcijaństwem. Mimo to wiele sekt chrześcijańskich głównie na wschodzie zachowało nadal sobotę, z czym walczyli, choć bezskutecznie oficjownie kościoła i papieża. Sobota bowiem przetrwała wieki, a następnie z powrotem została przyjęta przez wiele sekt chrześcijańskich, jak robotni-

ków na Morawach, w Rosji, w Siedmiogrodzie, u baptystów i adwentystów w Anglii i Ameryce, nie mówiąc już o judaizantach nad Wołgą i na Kaukazie, o Samarytanach, Karaitach, Falaszach i maranach (chrześcijańskich i muzułmańskich), którzy uparcie trwają przy sobocie poddając się niepospolitemu czarowi, jaki ona na nich wywiera.

Poświęcone sobocie poezje i pieśni powstały przeważnie w średniowieczu (J. Halewi, S. Gabirol, Abraham ibn Ezra) oraz za czasów rozkwitu nauk i prądów mistycznych (Salomon Halewi, Al-kabec, Ischak Luria i in.) natomiast melodie dorobione zostały później, przeważnie na dworach wielkich cadyków i osobistości z świata chasydzkiego. W nowszej poezji opiewali piękno soboty i jej czar Heine, Weisel, Bialik, Czernichowski, Sznur, Kohen i Szymonowicz.

Dla nich wszystkich stanowiła sobota, niewyczerpaną krynicę piękna niezależnie od tego, jak się ustosunkowywali do istoty religii żydowskiej. Słusznie powiedział Achad - Haam, który pojmował sobotę jako instytucję historyczną narodu żydowskiego, że jeszcze więcej niż Izrael strzegł soboty, sobota strzegła Izraela.

Z powyższego wynika, czym była, czym jest i czym może się stać sobota w życiu odrodzonego narodu. W Palestynie, celem nadania sobocie podniosłego charakteru założył Bialik w Tel-Awiewie „Oneg-szabat”, gdzie skupiała się cała elita duchowa jizruwu, i gdzie uczta sobotnia była zarazem uczta duchowa, przynoszącą każdemu uczestnikowi pełnię wzniosłego zadowolenia.

Księga o sobocie została doskonale opracowana przez kolegium redakcyjne.

Zwywy i soczysty język, piękna szata zewnętrzna, zgrabnie dobrane cytaty z pism judaistycznych, uporządkowane chronologicznie — pozwalają nam w perspektywie współczesnej zapoznać się z istotą soboty.

Nie będzie przesadą, jeśli powiemy, że księga ta winna się znaleźć w każdym żydowskim domu; będzie ona przewodnikiem w rodzaju „szalchan-aruchu” dla tych, którzy chcą zapoznać się z przewodnią ideą soboty i z jej głębokim filozoficznym podłożem.

\*) Nakładem Ohel-Szem, Tel Aviv.



# ANTENA ŚWIATA

## Budżety a wojna

W jednym z ostatnich numerów „Intra-sigant” znajdujemy ciekawe informacje o tym, że w bieżącym roku budżety trzech największych państw świata: Ameryki, Angli i Francji wykazują deficyty.

Do ostatnich czasów istniało w Europie przynajmniej jedno państwo, które miało budżet dodatni — była to Anglia. Obecnie zaszła i tu zmiana: budżet na rok 1937—1938 przedstawiony parlamentowi przez Chamberlain'a wykazuje deficyt. Co prawda normalny budżet nie daje deficytu (863 mil. £ dochodów i 862 mil. £ rozchodów), natomiast t. zw. budżet nadzwyczajny t. j. wojenny istnieje może jedynie dzięki pożyczkom wewnętrznym.

Anglia musiała się na to zdecydować, gdyż:

„Prowokują mnie — wołała ona i ja się bronie. Nie mogę zostawić Europie monopolu w dziedzinie tanków i gazów trujących.”

Takie jest pochodzenie angielskiego deficytu.

Leć istnieje jeszcze jeden wielki naród, wydający na swoje uzbrojenie stosunkowo mało, a mimo to posiadający stały deficyt. Jest to Ameryka, gdzie reformy społeczne doprowadziły do deficytu ponad 57 miliardów fr. Jak widzimy więc deficyt amerykański, w przeciwieństwie do angielskiego, jest natury społecznej. Co zaś dotyczy Francji, to jej deficyt ma charakter mieszany. Jej deficyt, wyrażający się w sumie 30 miliardów franków, pochodzi z obydwu przyczyn. Deficyt ten stanowi około 30% ogólnej sumy wydatków:

„to znaczy, że państwo, otrzymując 4 franki, wydaje — jeśli można tak się wyrazić — 6 fr. Brakujące 2 fr. osiąga przez pożyczki wewnętrzne. Caillaux na ten temat niedawno wyraził się w sposób następujący:

„moja kucharka nigdy w życiu nie prowadziła w ten sposób swego gospodarstwa — żyjąc za pożyczone pieniądze.”

Caillaux wykazuje tylko, że jego kucharka nie mogłaby być ministrem finansów ani w Paryżu, ani w Londynie ani w Waszyngtonie! W r. 1937 trzeba umieć robić dług. Jak zmienić istniejący stan rzeczy? Dopóki spokój nie zostanie zorganizowany, nie nowego wymyślić nie można. Trzeba zaprzestać „wojny miliardów”, jaką prowadzi ze sobą narody pod postacią zwiększenia zbrojeń.”

Zaprzestając tego wyścigu z własnej woli nikt nie zechce. Ostatnia nadzieja w tym, że słabe narody zaprzestają zbrojeń, przekonawszy się, że dorównają silnym.

„Sam Chamberlain oświadczył, że powiększając budżet, Anglia staje się najlepszą gwarancją pokoju na świecie. Komunikując te słowa, „Times” pisze: „Wielka Brytania jest w stanie wytrzymać wyścig zbrojeń, lepiej niż jakiegokolwiek inne państwo. Przy takim stanie rzeczy nie jest wyłączone, że skoro Anglia przystępuje do zbrojeń, nie dojdzie do wojny, bo nikt nie będzie w stanie się z nią zmierzyć.”

„Paris-Midi” jest też tego samego zdania:

„Potęga wojskowa związana jest potęgą finansową. Nie należy fabrykować armat, kiedy nie ma złota — albowiem nie ma większego błędu, jak myśleć, że trzeba mieć armię, aby być bogatym. Przeciwnie, trzeba być bogatym, aby mieć armię.

Anglia zawsze zwycięży Niemców, gdyż „ona dopiero teraz zabiera się do swoich zapasów, podczas gdy niemieckie kapitały są na wyczerpaniu”.

Zwycięstwem Angli nad Niemcami będzie zwycięstwem bez wojny — zwycięstwem handlowego narodu nad narodem wojaków.”

## Z. S. R. R. a Japonia

Traktat morski w Waszyngtonie bynajmniej nie przewidywał ewolucji Związku Sowieckiego, który wolno przystąpił się w wielką potęgę lądową chwając tym równowagę sił w Azji. Tak samo nie można było przypuszczać, że rywalizacja między Z. S. R. R. i Japonią będzie nieunikniona przy eksploatacji terytoriów kolonizacyjnych. Stanowisko Związku Radzieckiego jest obecnie par excellence obronne podczas gdy Japonii zaczepne. Jesli jednak ekspansja azjatycka państw Wschodzącego Słońca nie tłumaczy się ani „prawami” geograficznymi, ani nagłą koniecznością rywalizacji z Z. S. R. R. to przyczyny zachowania tej równowagi szukać należy w samej Japonii. Pewien publicysta kanadyjski często podkreśla, że jeśli Rosja carska prowadziła politykę ekspansji równocześnie handlowej i politycznej, to znowu Związek Sowiecki, przez zmianę zasadniczą swojej ekonomiki, bynajmniej nie znajduje się w tej samej sytuacji. Uwydatnił on fakt, że w ciągu wieków żadna potrzeba nagła nie kierowała Japonii do wnętrza Azji. Jej obecna ekspansja obudziła się z chwili, gdy zjawili się tam kapitał prywatny, inwestowany w przemyśle pod formą zachodnią, który stworzył potrzebę ujścia na zewnątrz

Pod względem politycznym uprzemysłowienie Japonii dało duży sukces, ale wewnątrz kraju pociągnęło za sobą wciąż wzrastające trudności, pogłębiające coraz bardziej przepaść, oddzielającą prymitywne rolnictwo o charakterze jak dotąd azjatyckim od przemysłu, rywalizującego już z największymi przedsięwzięciami europejskimi i amerykańskimi. Te trudności Japonia przetransportowała ze sobą do Mandżurii i Chin, gdzie dobrobyt fabryk tekstylnych, kopalni węgla i innych przedsięwzięć japońskich zależy od ręcznej pracy dostarczanej przez ludność doprowadzoną do nędzy.

Prowadzona przez własny przemysł Japonia kieruje, więc, swoją ekspansję polityczną w kierunku Azji.

Czy zatrzyma się ona na granicy Chin? Mandżuria nie wystarczyła, czy Chiny wystarczy?

Niestaość równowagi ekonomicznej pomiędzy Japonią i jej „imperium kolonialnym”, podkreślana jest jeszcze przez nędzę, która wypiera ten kraj z jego granic naturalnych. Jeśli ekspansja na kontynent okaże się środkiem nie wystarczającym, można przypuszczać, że nie wyrzekając się zasady ekspansji, Japonia skieruje swe ambicje na oceany.

Jest mało prawdopodobne, że marynarka japońska będzie wykorzystywana wyłącznie dla obrony morskiej pozycji kontynentalnych. Przeciwnie, jest bardzo prawdopodobne, że próba uczynienia z niej środka służącego równocześnie ekspansji morskiej i kontynentalnej wskaże na nowy etap w polityce Nipponu na pacyfiku.

## Van Dogen o Ameryce

Jakiś dowcipniś niedawno zauważył, że dwa kraje powinny zniechęcać turystów: Stany Zjednoczone i Z. S. S. R. Albowiem powróciwszy z jakiegokolwiek kraju podróżnicy mają prawo zachować milczenie. Natomiast po powrocie z Ameryki czy też Sowietów, zmuszeni są „podzielić się wrażeniami” a często nawet napisać książkę. Przed paru dniami powrócił z New-Jorku znakomity portrecista Van Dogen i „podzielił się” swymi wrażeniami. Jako wynik swej podróży Van Dogen „odkrył Francję”, której dotychczas nie cenił, nie lubił nawet. Natomiast teraz:

„Od Havre'u aż do Paryża nie mogłem się oderwać od okna. W Ameryce nie ma pejzażów. Zwiedziłem cały kraj ze wschodu na zachód. Są to olbrzymie przestrzenie gdzieśgdzie zabudowane — nie, to nie tworzy pejzażu. A tu — wszystko zielone, wszystko skromne, wszystko ma swój umiar. Chciałbym zasnąć na dwa tygodnie. Jeszcze mnie męczy Ameryka z jej dziecinadą. No, bo proszę, sobie wyobrazić, w styczniu w czasie katastrofalnych powodzi, gazety wychodziły z olbrzymimi nagłówkami: — Gary Cooper zachorował na grype.

Najbardziej charakterystyczne wrażenie jakiego doznał Van Dogen jest całkiem innej kategorii. Według jego zdania nieunikniona jest w Ameryce rewolucja. W ciągu najbliższych czterech lat syndykaty zgnotą burżuazję. Odczuwa to się na każdym kroku: w ogólnym stanie umysłów, uporze kapitalistów, nie chcących iść na kompromis i t. d.

Clemenceau twierdził, że w Ameryce nigdy rewolucji nie będzie.

Przyszłość okaże kto miał słusność.

## To wystarczy..

„Daily Express” w rubryce, zatytułowanej „Aktualia XX w.” podaje króciutką, ale zato wielce charakterystyczną informację

Oto przed sądem w Londynie stanął pewien człowiek, oskarżony o to, że w czasie sprzeczki ze swym kompanem uderzył tamtego nożem w twarz. Zapytany przez sędziego, czy zrobił to po pijanemu, w następujący sposób rozpoczął swą obronę: — Nie panie, sędzio! Nie byłem pijany. Dopierośmy zasiedli do piwa, ale mówiliśmy o narodowym — socjalizmie... — I sędzia zrozumiał..

## Maszyna do pisania nut

Już od wielu lat czyniono próby skonstruowania maszyny do pisania nut. Podobno udało się już inżynierowi Rauqsdorfowi zbudować taką maszynę, która w nie długim czasie oddana zostanie do użytku publicznego. Największą trudność sprawiała możliwość wybicia linii nutowej równocześnie z samą nutą. Nowa maszyna nie różni się niczym od zwykłej maszyny do pisania. Wprowadzenie jej w życie będzie znacznym ułatwieniem dla kompozytorów. Również dyrekcje oper zaoszczędzą sobie znacznych sum, gdyż teraz już można będzie przy przepisywaniu partytur posługiwać się kalką.

Nowy wynalazek przyczyni się zatem do kolosalnego obniżenia kosztów przepisywania nut.

## Mężczyźni gotują..

W Marsylii istnieje od kilku miesięcy nowa szkoła, gdzie do programu wprowadzony został między innymi kurs t. zw. „bricolage'u”. Jest to mianowicie umiejętność wykonywania wszystkich bez wyjątku robót domowych, jak elektrotechnicznych, slusarskich, malarskich, zdumskich i t. d.

Ale nie na tym koniec. W końcu roku 1936 zainaugurowano dla chłopców także... kurs gotowania! Matki tych chłopców oświadczają, że dotychczas są z tego bardzo zadowolone.

Może więc nareszcie rondel i patelnia przestaną być wyłączną własnością kobiet oraz symbolem, który od tysięcy lat pozbawia je aktywności i tak bardzo pleć słabą upokarza.

Czy jednak przyszłe żony tych, umiających gotować, młodzieńców również będą zadowolone, okaże niedaleka przyszłość.

## Także artykuł wojenny

Angielski związek kupców szmat podaje do wiadomości, że ceny szmat wzrosły o 100%, w związku z zapowiedzianymi zbrojeniami.

Aczkolwiek na pozór fakt ten wydaje się nieco dziwnym, jest tak istotnie, gdyż przemysł wojenny wymaga wielkiej ilości szmat... do czyszczenia maszyn.

## Bóg hinduski przegrywa proces..

„Bombay Post” podaje ciekawą wiadomość o procesie, jaki się tam niedawno odbył w obecności niezliczonych tłumów publiczności. Otóż jeden z licznych hinduskich „bogów” w osobie swego naczelnego kapłana pozwał przed trybunał miejscowej fundacji, istniejącej ku jego czci, oskarżając jej zarządców o brak nadzoru i nieuczciwość. Sąd jednak po rozpatrzeniu sprawy powództwo „boga” oddalił, zaszczepiając oden kosztu procesu.

## TEATR MALICKIEJ

„Mala Kitty i Wielka Polityka” — komedia w 4-ech aktach Stefana Donata.

Żyjemy pod znakiem permanentnych konferencji. Mania konferencyj ogarnęła państwa. Nie prowadzą one do żadnego celu, a przynoszą jedynie konkretny pożytek hotelom i prasie. Tak przynajmniej sędzi o nich główny reżoner komedii portier hotelu „Grand Palace”, Huber, który już nie jedną konferencję ma za sobą. Konferencje — to zaiste dotychczas niewyżytkane źródło pomysłów komediopisarskich, źródło, z którego zapewne warto czerpać. Siegnął doń młody, debiutujący autor, Stefan Donat, biorąc za temat do swej komedii jedną z takich konferencji gospodarczych, odbywających się w Luagnie. Spiritus movens komedii — to jednak postać nie biorąca w obradach udziału. Jest nią „Mala Kitty”, która przez przypadek wciągnięta została w wir „wielkiej polityki”. Zazdrościła koleżance przyjaciela i postanowiła znaleźć sobie takiego wśród wysoko postawionych gości hotelu Grand Palace, gdzie zajęta jest jako manicurzystka. Polowanie „malei Kitty” na „wielkiego” przyjaciela, jakoś dziwnie krzyżuje się z polowaniem bardziej realnym, z polowaniem na grubszą zarobek, pewnej, na gruncie konferencji „erującej”, grubo finansowej, reprezentowanej w komedii przez nieustraszoną businessmanke, agentkę Irene Sorel. Mala Kitty podstawiła nieświadomie, swą filigranową nóżkę młodej Irene Sorel i przysłużyła się tym samym aż samej Wielkiej Brytanii, zdobywając równocześnie upragnionego przyjaciela.

W komedii tej jest spora doza nielogiczności, ale naprawdę trudno o to mieć do autora pretensje, skoro sam potraktował swoją komedię bezpretensjonalnie, nadając jej charakter lekkiej, modnej dziś komedii rozrywkowej. Posiada ona świetnie zbudowane sceny, rzadko miły dla ucha dialog, finezyjny dowcip, aktualne, demaskujące „wielką politykę” powiedzenia, a co najważniejsze rola, w której możemy podziwiać talent aktorki Marii Malickiej.

Maria Malicka w roli „malei Kitty” — to uosobienie wdzięku i czaru. Jest to kreacja, którą, abstrahując od walorów samej komedii, warto zobaczyć. Maria Malicka swoją „Kitty” spreparowała sym-

## Rasizm naukowy i polityczny

(dokończenie ze str. 5)

Żydów wyznań chrześcijańskich (data graniczna dla uznania aryjskości jest rok 1800). Trudności przede wszystkim powstają stąd, że Żydzi są skoligaceni z wyższymi warstwami społeczeństwa niemieckiego. Ludzie ci zajmują bardzo wysokie stanowiska, mają wielkie wpływy i walka z nimi nie jest łatwa. Toteż hitlerowcy muszą z niej jednego rezygnować. Kwestia rasy nie przestaje jednak być w Niemczech kwestią dominującą. Tłumom pochlebia rola wybrańców, odpowiada ich instynktom, jest dla prowadzących doskonałym środkiem demagogicznej agitacji.

W nauce nie znajduje żadnego uzasadnienia koncepcja różniczkowania ras. Stwierdza to niemiecki antropolog dr. Walter Scheidt w dziele „Rassenunterschiede des Blutes” („Für die Juden in Berlin lassen sich keine Unterschiede gegenüber den Gruppen des deutschen Kulturgebietes nachweisen”).

Dziś antropologia w Niemczech, wykładana na wszystkich uniwersytetach, przestała być nauką w obiektywnym znaczeniu, a stała się jarmarczonym tematem rasistów.

Nonsensy rasistów znajdują doskonałe odzwierciedlenie w głośnych dowodzeniach. J. Lapouge'a, który upatruje pokrewieństwo między Żydami a aryjczykami („Les selections sociales”). Jeśli wziąć pod uwagę, że podstawą badań antropologicznych jest wskaźnik czaszkowy, to według Lapouge'a Żydzi, jako długogłowi, są rasowo spokrewnieni z długogłowymi mieszkańcami północnej Europy, a więc z Niemcami i Anglikami. Inny znów antropolog dr. J. M. Judt („Żydzi jako rasa fizyczna”) wskazał na pokrewieństwo krótkogłowych Żydów z Polakami i Francuzami. Dr. Judt, analizując cechy rasowe Żydów starożytnych, dowodzi, że długotwałe wędrowki i wpływy otocze-

nia mogły przekształcić pierwotne rysy fizyczne hebrajczyków z okresu azjatyckiego. Dugoletnie wędrowki Żydów po Syrii, Egipcie, Kanaanie sprzyjały krzyżowaniu. Toż samo w dziedzinie, obejmującej Pamir, Turan, Armenię, Mezopotamię północną i krainę Chaldei południowej. W okresie przedhistorycznym przed 4000 lat szczepy semickie wchłaniały pierwiastki fizyczne odmiennego typu: tu długogłowice semicki podlegał krzyżowaniu rasowemu z krótkogłowcem środkowo-zachodniej Azji. Stąd bierze się — według Judta — przeciwieństwo cech antropologicznych Żydów, jak długogłowość obok krótkogłowości, jasne włosy gładkie obok czarnych falistych i t. d.

Stwierdza więc Judt, że dzięki tym krzyżowaniom Żydzi odchylił się od pierwotnego typu semickiego, a natomiast zbliżyli się do typu krótkogłowców azjatycko-europejskich, tak, iż stanowią jedną z galezi wielkiego ich pnia.

A więc jeżeli Lapouge dowodził, iż Żydzi są spokrewnieni z Anglikami i Niemcami, to znów według Judta są rasowo zbliżeni do Polaków i Francuzów.

Czy czasem nie za dużo tych krewnych?

Z powyższego — krótkiego zresztą — przeglądu wynika, że zagadnienie ras znajduje się w sferze teoretycznych rozważań. „Kwestia rasowa” jest kwestią dla tych, którzy chcą oprzeć swój autorytet władzy na podjudzaniu jednych przeciw drugim.

Dla tych zaś, którzy szczerzyć się mogą wyznawaniem innych poglądów, rozdmuchania ostątnio do niebawalnych wprost granic t. zw. teoria rasowa nie stanowi bynajmniej zasadniczego elementu ani w dziedzinie politycznej, ani kulturalnej.

LEOPOLD GAIZLER

PRZYPOMINAMY NASZYM P. T. ABONENTOM, ŻE CZAS JUŻ OD-  
NOWIĆ PRENUMERATĘ ZA II KWARTAŁ.

ADMINISTRACJA

## T E A T R

tezę psychologiczną, zawierającą takie sprzeczności, jak filuterność, rozbijająca naiwność, niedoświadczenie życiowe, pewność siebie i tupeć, którym zmusiła aż samego ministra Wielkiej Brytanii do uległości i posłuszeństwa. Dobry był główny reżoner komedii, portier hotelu Grand Palace, w kreacji Zygmunta Biesiadckiego. Jego informację, udzielane rozgorączkowanym dziennikarzom, przeplatane dowcipnymi porównaniami, bawiły świetnie widzów. Poprawnie zagrał swą rolę ministra handlu Wielkiej Brytanii, sir Horacego Ashlina, Włodzimierz Ziemiński. Słabo ekspresji z swej roli, przedstawicieli koncernu finansowego, Irene So-

rel, wydobyla Relewicz Ziemińska. Doskonali był Bay Rydzewski w roli uległego kolegi Irene Sorel, szczególnie w ostatnich scenach, kiedy po uświadomieniu sobie fiaska powierzonej mu misji i utracie milionów, popadł w apoplektyczną wściekłość. Wojciech Wojtecki w roli pechowatego dziennikarza, Pieda Enthousena, wypadł blado. To samo należy powiedzieć o reszcie obsady.

Komedie wyreżyserował Zbyszko Sawan. Dekoracje sporządził Stanisław Kurman. Foyer hotelu Grand Palace w pierwszym i ostatnim akcie dawało iluzję rzeczywistości.

J. LESER.

## KINO

„KOBIECY ZWYCIĘZYŁY” — STUDIO.

Patrząc na francuski film „Kobiety zwyciężyły” (nagrodzony na Wystawie filmowej w Wenecji), ma się wrażenie, że to obrazy holenderskich i flamandzkich malarzy odzity, że to postacie przez nich stworzone zeszły ze swych pociemnionych starością płócien, aby odegrać senę ze swego własnego życia.

Ten jeden dzień życia małego miasteczka flamandzkiego na początku XVII stulecia oddaje z taką wiernością typy, architekturę, charaktery epoki, że po prostu pulsują on cały atmosfera tamtych zamierzających już, a na ekranie tak żywych czasów. Akcja filmu — przyjazd do miasteczka wielkiego dostojnika hiszpańskiego — ujęta jest z prawdziwie francuskim humorem, lekkością i niepozbawioną życzliwości satyrą. Cały nastrój filmu utrzymany w tym tonie stwarza rzecz niezmiernie subtelną i żywą — tak różną od amerykańskich, czy nawet angielskich filmów tego rodzaju — niezależnie od wartości przeważnie ciężkich i pozbawionych wszelkiego uroku.

Reżyseria, malarsko tak piękna, jest również doskonałą pod każdym innym względem. Trudno wprost byłoby wyliczyć szereg udanych chwytów reżyserkich, odbiór scen i scenek, które jak perły odbijają się na tle więcej niż dobrej całości.

Gra aktorów — na najwyższym poziomie, wszyscy potrafili wczuć się w inten-

cje reżysera i każdy z oddzielną stworzył soczystą, wyrazistą sylwetkę.

Ten film, jak dobre wino francuskie — pije się z rozkoszą. Na długo po nim zostaje przyjemny, wytrawny smak.

„BEZ ŚWIADKÓW” — EUROPA.

Film ten powinien nosić tytuł „Tajemnica tonu wyścigowego”, albo „Historia jednej żelazki”, albo „Siedem trupów w jeden dzień” — a — bez żartów — mogłoby zachować swój oryginalny tytuł „Czarny pajak”.

Dlaczego naszym zwyczajem zmieniono mu tytuł na nic nie mówiące w tym przypadku: „Bez świadków” — trudno zrozumieć.

Amatorom sensacji i zawiliżym zagadek detektywistycznych film ten dostarczy wielu silnych wrażeń — niewytłumaczonych zbrodni, bójki, strzelaniny, zakazane twarze gangsterów, różne podejrzone kartki, znaki, i t. p.

Przez dwie trzecie filmu nie się nie rozumie, aby potem po otrzymaniu rozwiązania zagadki, przekonać się, że się dalej nie rozumie.

Nawet amatorzy dreszczyku emocji tego rodzaju nie wszystko rozumie, ale mimo to byli zadowoleni i bawili się dobrze. Co kto lubi.

Trzeba jednak przyznać, że film posiada barę scen udanych i zabawnych, gra Wiliama Powella — jak zwykle — do-  
wrotna.

T. S.

Prenumerata: miesięczna 1 zł. 20 gr., kwartalna 3 zł. 50 gr., za granicą kwartalna 5 zł.  
Ceny ogłoszeń: za m/m za tekstem 80 gr., w tekście 1 zł. Strona zawiera 5 szpalt. Na str. onę pierwszą ogłoszeń nie przyjmuje się.

Redaktor: Dr. M. KLEINBAUM

Wydawca: TOW. WYD. „STER” sp. z o. o.

Redaktor odpowiedzialny: A. KLARMAN.

Druk. B.-ci Wóickiewicz, Warszawa